



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 23 stycznia 1955 r.

Nr 4 (252) Rok VI

STEFAN KOZICKI

Trzej panowie na lodzie

Siedzimy we trójkę przy okrągłym familijnym stole. Nie bez pewnego rozróżnienia spożywamy rozłożone na różnokształtnych półmiskach różnorodne kanapki. Dookoła: makaty, makatki, firanki, firanczki, rozłożysty solidny pseudogański kredens dublowany przez smukły szklany kredensik. Z kredensikiem klóci się zawieszony nad tapczanem łuk i pęk strzał z Polinezji. Widać, że dom zadowolony. Przytulny. Osadny. Obrosły miastowym dostatkem.

A przecie gospodarz tego dostatku kilka lat temu wstąpił imponował nam swym twardym chłopięcym akcentem, manierami spod parafianego kościoła i wspomnieniami z „ery krów pasania”. Nigdy nie mogliśmy wyobrazić go sobie bez tych jego „psychicznych” butów z cholewami. Zresztą na mocy tejże zasady sami używaliśmy wówczas krawatów wyłącznie z musu i ze wstrętem.

Patrzmy po sobie tak uważnie, jakby chodzilo o zliczenie włosów, oczywiście tych, któreśmy postrzegli od ostatniego, przed laty, widzenia. Patrzmy po sobie, odszukujemy w znajomych sprzede lat twarzach i gestach mnóstwo młodych wspomnień i dziwny się zmieniliśmy się nie tylko zewnętrznie. Przed kilkoma laty, kiedy spotykaliśmy się nieomal codziennie, byliśmy sobie bardziej obcy niż dziś. Każdy miał w kieszeni legitymację innej barwy i byliśmy święcie przekonani, że ta różność barw jest jak tatuaż wieczna. Wiedliśmy ożywione spory. Umieliśmy pracować całymi nocami nawet bez kawy, na którą zresztą nie starczało funduszy. Zebrań nie traktowaliśmy jeszcze jako kary bożej za socjalizm. Tańczyliśmy, uczyliśmy się, uczyliśmy innych, pili, kochali się, pisali referaty światopoglądowe, przemawiali na wiecach. Jeden z nas marzył o napisaniu nowej „Komedii Ludzkiej”, drugi napisał nawet dwa rozdziały epokowej pracy z zakresu socjologii o antagonizmach klasowych w zgoła kosmicznym wymiarze. Inny wstąpił się uczestnictwem w wielkiej awanturze, jaka wybuchła po odtańczeniu przez „Czerwonych maków pod Monte Casino” i „Piosenki o mojej Warszawie”.

— Pamiętasz?

— Pamiętacie?...

Wyciągaliśmy jedno po drugim

stare wspomnienia z marynaty pamięci. Aż ktoś wspomnił aktualną „dyskusję o młodzieży” i wznosił pod zagrychę z marynaty naszych wspomnień taki oto toast:

— Nie rozumiem! Doprawdy nie rozumiem. Dlaczego wtedy mieliśmy na wszystko czas? Dlaczego w tamtych czasach nie trzeba było postulować jakiejś „walki z nudą” (przynajmniej, że ma ona dla mnie zgoła satyryczny posmak). Czyżbyśmy byli wówczas aż tak różni od tych, którzy przyszli na nasze miejsce? A może czasy były zupełnie inne, ciekawsze?

I RZEKL DRUGI: Na pewno czas był inny. My też stanowimy inne pokolenie, mimo iż większość dzisiejszego aktywu zetempowskiego jest wciąż w naszym wieku. Ale przeciętny młody człowiek mający dziś lat kilkanaście zazdrości nam, zazdrości szczerze. Czuję kompleks niższości. Chce się czuć rewolucjonistą, czuje (używając oklepanego romantycznego zwrotu) „rewolucyjnego porywy”, rozgląda się uważnie dokoła, szuka elementów rewolucyjności w otaczającej go rzeczywistości i — nie zawsze je znajduje. Opowiadałem kiedyś młodemu uczniowi gimnazjalnemu historię mego spotkania z bandytami w Lubelszczyźnie roku 1946. Wyrażał żal, że taka przegródą jego spotkać prawdopodobnie nie będzie mogła. Próbowałem tłumaczyć. Że i dziś mogą się zdarzać równie dramatyczne i równie „romantyczne” sytuacje. Że też jest wróg, groźniejszy nawet, bo — zamaskowany. Ale młodzień wychowany na lekturze opiewającej bohaterstwo rewolucyjno-partyzanckie czyny nie chciał mi uwierzyć. W końcu niby się zgodził z pewnym zastrzeżeniem. Mówił: Wasze wyczyny przypominały ćwiczenia na trapezie zawieszonym nad przepaścią, a mnie chcecie wmówić, że mam dzisiaj możliwość dokonywania tych samych ćwiczeń pod warunkiem, że będą się odbywały pod okiem doświadczonego instruktora i tuż przy samej ziemi.

I RZEKL TRZECI: W zasadzie zgadzam się, ale i ty i twój rozmówca-uczeń upraszczacie sprawę. Słuszne sprostowanie komentujesz zbyt infantylnie i dlatego ktoś może odnieść wrażenie, że sprowadzasz rewolucyjność do rewolweru, bandytów, przgody. W latach 1945-49 nie wszyscy nosili pistolety. Ja chociażby. Nie spotkałem też nigdy bandytów. Ale mia-

łem równy twojemu rewolucyjny zapal, chociaż nie miałem odpowiadających mu atrybutów zewnętrznych. Twoje rozumowanie jest chyba takie: dzisiejsza młodzież żyje w zupełnie innych warunkach, bo jeżeli wyjdzie kto na ulicę w czerwonym krawacie, nie napotyka muru nieprzychylnych spojrzeń. Z tego wnioskujesz, że ginie posmak rewolucyjności, że będzie go coraz mniej i mniej... Niby takie społeczne prawo. Rozumowanie tyleż prawdziwe co fałszywe. Fałsz oparty na powierzchownym traktowaniu rewolucji, sprowadzaniu jej do atrybutów zewnętrznych, bez wnikańia w jej treść ideologiczną, intelektualną. Na pewno spora część młodych ludzi zazdrości partyzantom. Są tacy co żalują, że się nie urodzili wcześniej. Czy jednak tego rodzaju postawy wynikają wyłącznie ze zmian, jakie dokonują się w państwie, z tego, że ustabilizowana została gospodarka a Mikołajczyk uciekł za granicę? Nie sądzę. Przyczyna tkwi gdzieś indziej.

Jest takie egzaltowane słowo: upojenie. U wielu współczesnych nam aktywistów młodzieżowych upojenie kojarzy się co najwyżej z alkoholizmem. Tymczasem jeszcze kilka lat temu chodziliśmy pijani dzień w dzień. Pijani — jak się to powiada — wolnością, oraz (co jest chyba ważniejsze) poczuciem, że oto zdobyliśmy władzę, że otworzyło się przed nami pole nieograniczonego działania i nieograniczonych możliwości. Cała nasza ojczyzna była jak wielka biała karta, którą sami mieliśmy dopiero zapisać. Czuliśmy się — w sensie jak najbardziej dosłownym — jej twórcami. Rzeźbiliśmy obraz naszego kraju własnymi rękami. Wydawało się nam, że każde nasze zdanie wygłoszone na wiecu, każde zebranie, każda dyskusja a nawet — każda rezolucja ma bezpośredni skutek, taki jak ruch ręki rzeźbiarza modelującego jedynę, niepowtarzalną, największe dzieło swego życia. Wierzyliśmy w swoją młodzież, wdziewaliśmy, że może ona bardzo wiele, że może w s z y s t k o. ...a potem przyszedł czas, kiedy starano się ustawić młodzież grzechem, parami, i prowadzić do muzeum. Pabrze — mówiono — oto rzeźba ze złota i granitu. Ojczyzna. Możecie ją uwielbić, chronić, ale dotykać brudnymi niewprawnymi paluchami — wara. Najpierw obetnijcie sobie paznokcie, zadry spłuj-

cie pilniczkami. Rzeźbić — to funkcja tylko dla wybranych. Z dyplomami.

WTEDY WTRĄCIŁ SIĘ PIERWSZY: Myślę, że różnicę o której mówimy można by tak sformułować: I wówczas, w pierwszych latach wolności, i dziś — odbywają się wielkie rewolucyjne przemiany. Tylko dziś dzieją się one w o-

c z a c h młodzieży, a wówczas myślimy sami ich dokonywali.

TRZECI: Twoje sformułowanie będzie prawdziwe tylko wtedy, gdy je zbudujesz na zasadzie sylogizmu. Człon pierwszy — młodzież dzisiejsza uważa, że skazano ją na sytuację obserwatora. Człon drugi — sam zaliczam się jeszcze do młodzieży. Człon trzeci — a więc nie

mam prawa do żadnego poczucia wyższości czy dumy z tego co zdziałam niegdyś, ponieważ sam jestem dziś, jak cała młodzież, obserwatorem. Na razie możesz jeszcze powstrzymać się z pisaniem pamiętników. Nie wiadomo, czy znajdzie się taka instytucja wydawnicza, która by je wydać chciała.

DRUGI: Młodzież dzisiejsza ma pełne prawo czuć się zupełnie tak samo jak my w pierwszych latach rządów ludowej władzy. Jednak prawo, to nie to samo co m o ż l i w o ś ć. Wydaje mi się, że dotychczasowa praktyka organizacji zetempowskich czyniła wszystko, aby utwierdzić wśród swych członków swoisty kompleks niższości, niewiary we własne siły. Mówię „dotychczasowa”, bo już widać pewne zmiany na lepsze. Zmiany te nie następują dlatego, że ktoś „w górę” tak pomyślał i postanowił. Zmiany muszą nastąpić, gdyż młodzież brzymana sztucznie w szeregach stojących bez przerwy na baczność, zaczęła by prosto sama, poza organizacją, próbować w zapasach z historią swoich sił.

Przez ostatnich lat parę organizacja zetempowska pozostawała wyrażona w tyle, wlokła się w ognie wielkich pragnień i dążeń młodzieży. W wielu świetlicach zetempowskich wiszą hasła o „Młodościach, które są przyszłością narodu”. Hasła nie odpowiadające praktyce pracy organizacyjnej. Bardziej odpowiadałyby rzeczywistości inne hasła, w rodzaju: „UWAGA! NIE WYCHYLACIE SIĘ!” lub „FSTT! PRZEWODNICZĄCY IDZIE!”.

Rozmawiałem niedawno z młodym ślusarzem samoukiem. Zadziwił mnie słuszną i rzeczową krytyką zasad upowszechnienia kultury w ZMP. — Mówiliście o tym gdzieś w organizacji? — zapytałem — Po co? — odpowiedział — będę mówił, mówił, i wszystko zostanie po staremu. Przecież to nie ode mnie zależy y. Zresztą teraz zajmujemy się w naszym kole zupełnie czym innym. Bo wiecie — ściszył głos — my pracujemy p l a n o w o. — Jak to? — Ano tak to: według na góry ustalonego kwartalnego planu nadesłanego nam przez Zarząd Miejski.

„To nie ode mnie zależy” — „I tak Zarząd zrobi co zechce” — „są

(Dokończenie na str. 2)

Z wystawy plastyki ukraińskiej



I. L. KUCZYŃSKA: Oleksa Dowbusz

NAZYM HIKMET

LIST Z POLSKI

I

O miła moja, o mój paku róży,
Na polskiej równinie początek mojej podróży.
Stałem się małym dzieckiem, które
Ogląda po raz pierwszy książkę z obrazkami,
Stałem się małym dzieckiem, które
Wzruszone całe jest i pełne radości,
Stałem się małym dzieckiem, które
Ogląda po raz pierwszy książkę z obrazkami
I znajduje w niej ludzi, zwierzęta i rzeczy
na nowo,
Piękniejsze niżli były, bardziej kolorowe.

II

Na polskiej równinie wiosna jest szczęśliwa,
Tylko na naszej równi taka wiosna bywa.
Chciałbym sokołem wznieść się w jej pogodzie,
Chciałbym pstragiem zapląść w jej przejrzystej wodzie,
Chciałbym pożerać masy jej zielonych liści,
Tylko na naszej równi tak wiosna się łąci.
Nie pyta mnie czy głos mam i czy pięknie śpiewam
Po prostu każe śpiewać równinę i drzewa.
Nawet w sny moje ciemne ta wiosna się wdziera
I gąszcz kwiatów jabłoni we śnie rozpościera.
Dobre wieści jak kwiaty na tych drzewach rosną,
To wiosna na równinie polskiej, wiosna, wiosna.

III

O miła, córko mego wuja, matko mego syna,
Przedka naszego ta piękna zrodziła kraina:
Masz więc to dlatego, o moja kochanko,
Masz tyle wspólnych rysów z wdzięczną warszawianką?

Może dlatego płowo moje wąsy rosną
Możem dlatego cały jak dąb wybujały
I tak niebieskie oczy otwiera nasz mały,
A ta równina nasza przypomina wiosnę?
Może dlatego tak mnie polska piosenka wzrusza
I porusza drżące we mnie jasne wody,
Bo przedka nam zrodziła ta piękna kraina,
I dlatego ciemności on w oczach zwyciężył!
Jego włosy krwi pełne były jak i moje,
Jego noce bezsenne były jak i moje.
Może i on tak samo, jak ja, ze snem pod powieką
Zapominał pod drzewem daleko, daleko —
Zapominał o wszystkim i szalał z rozpaczą,
Czując zapach ojczyzny przy każdym oddechu
I myśląc, że jej nigdy nigdy nie zobaczy.

IV

Jestem pewien, że istnieje murzyńska piosenka
Piosenka, którą w Harlem śpiewają po nocy,
Smutna, nie beznadziejna, jak cień nocy miękka,
Jestem pewien, że istnieje murzyńska piosenka
Piosenka, którą w Harlem śpiewają po nocy,
Łagodnie, tak łagodnie matka ją tam nuci,
Ze dzieci spać się kładą i śnią aż do rana,
Rycerz polski przed drzwiami straży nie porzuci,
Ten rycerz ze skrzydłami, co zmarł pod Savannah,
O którym czarna matka dzieciom w nocy nuci.

V

Kiedy przyszła Ludów Wiosna,
Wolność była jak miód jasna
Jak miód kwiatom co wyrosły
Na dalekich ciemnych skałach.
Ludy były jako pszczoły,
Wiosna była — wiosna ludów,
Moja wielka, jedna wiosna...
Wolność była jak miód jasna.
A na czele wolnej armii
Hen, daleko gdzieś na Węgrzech,
Szedł gniewliwy, szczupły starzec
Bem — zielona gałąź wiosny.

VI

Gdybym mógł pojechać do Paryża,
córko mego wuja,
Gdybym mógł pojechać do Paryża
I gdyby z rana padał deszcz,
A po południu słońce świeciło,
Zmierzył zapadłby jak sztandar czerwony.

Gdybym mógł postawić białą różę
Białą różę, co przywozłem z Warszawy —
Postawiłbym ją na grobie
Jarosława Dąbrowskiego.

VII

Święte drzewo naszej największej nadziei
Posadzono w tym kraju, gdzie się rodził Lenin.
A kiedy jeszcze było małym drzewkiem
A noce były i mroźne i śnieżne,
Ogrzewał je swymi rękami
Do ranków dyżurując wielki rewolucjonista
Dzierżyński Feliks.

VIII

Krew siedemdziesięciu siedmiu narodów
Złączyła się z krwią hiszpańską,
Aby się rzeką rozlać po hiszpańskiej ziemi.
Kiedyż o wolność była walka taka,
Żeby w pierwszym szeregu nie było Polaka?
Nigdy!
Walczyl przeciwko śmierci, przeciwko złym losom
Jak lew lata złością gdzieś pod Saragossą,
Przeciwko śmierci chytrej, od życia chytreszej,
Wykręcał się uśmiechem i żartem
najserdeczniejszym.

Bo Walter wiedział, że nie można ziemi
Zatrzymać niczym, nawet drutami kolczastymi.
Nie jak przemytnik ukryty ciemnością,
Ale w światłości księżycy i słońca,
Przemierzał kraj ten od końca do końca
I bez paszportu miał słupy i szlabany.

Bo Walter wiedział, że pożar wzniecały
Wkoło Madrytu zapali Warszawę!

IX

I zapłonęła stolica Warszawa!
Śmierć weszła do Paryża. Do bram Moskwy
doszła.
A potem, potem — wszak wiesz, różo biała —
Krew się polska z krwią radzieckich narodów
mieszała,
Aż póki nad ruiną Brandenburskiej Bramy
Pierwsza jutrzienka wolności nie wstała.

A wtedy gniew ludu się zbiera
I z bólu całych pokoleń wykuwa
Kształt słonecznego kraju przyszłości —
I w rytmie serca Waltera
Uderzyły kilofy wolności!
A serce to było z narodem,
Wrogowie kulę niosą,
Nie dosięgła go pod Saragossą,
Uderzyła pod Baligrodem.
I zabrzmiły pogrzebowe dzwony
I zastępy czas, jak ze stali,
Aby jeszcze mocniej zapłonąć
Pieśnią gniewną głoszącą socjalizm.

Socjalizm to jest —

— o mój paku róży,
Socjalizm, jakby ci to powiedzieć?
To zniszczenie kułackiej spiżarni,
To nie brak głodu — niemożliwość głodu,
To miłość, która wierność zagarnia
I niczego prócz miłości nie żąda. —
To starość spotkana z pogodą
Jak gdyby przejście z ogrodu do ogrodu,
To śmiech na ulicy dziecka rumianego...

Och, przecież ukrywać nie będę przed tobą,
o miła,
Że jestem dumny, trochę dumny z tego
Że polska ziemia dziada mego urodziła.

Wersja polska j. i.

Trzej panowie na lodzie

(Dokończenie ze str. 1)

od tego specjaliści inni, mądrzejsi ludzie" — „co się będę pchał na afisz" — takie zdania (szczególnie jeżeli wygłasza je młodzież) działały przynębiająco. Nic dziwnego, że w wielu kołach zetempowskich panuje atmosfera przynębienia. Gdzieś tam poza mną wszyscy się decydują, ja nie do tego nie mam — myśli przeciętny młody człowiek i myśli źle, nieprawdźwie, jego myśli nie są z naszej ery...

PIERWSZY: Przypomniałem ci cytaty: „Tragedią młodego pokolenia jest, że zastaje ono świat już uformowany i nie zawsze zdaje sobie sprawę, że może go zmieniać" — pisał młody Karol Marks. Zdanie to dotyczy oczywiście stosunków panujących w ustroju kapitalistycznym, i...

DRUGI: Nie epatuj cytatai. Cytatologia zabiła inwencję publicystyki.

PIERWSZY: A twoje metafory mają raczej bytu tylko wtedy, gdy ozdabiają fakty układające się w logiczny związek praw społecznych. Jeżeli cytuję, to nie po to, aby dać popis marksistowskiej erudycji, czynię to dla — że tak powiem — wyższych celów, prawie że — dla wyższych i n a t a n c j i. Znieś więc jeszcze jeden cytaty: „Wszystko robi się na rozkaz z góry. Jest wysyłanie dyrektyw i czekanie na dyrektywę. Ten system przeniknął bardzo głęboko. Przyczyniło się do niego zarówno dyrygujący jak dyrygowani, choć ci ostatni próbują czasem się sprzeciwić. Wszyscy od dawna zdają sobie sprawę z tego, że ten system jest źródłem paraliżu dla organizacji, zabija inicjatywę, jest antytezą socjalistycznego wychowania... Formalizm, reżerowanie, nie liczenie się z wolą młodzieży na obraniu kola czy na konferencji — to zjawiska jakże często spotykane. Czasem trudno mówić o naruszeniu — trzeba mówić o nieuczynianiu" — stwierdzał Jerzy Morawski, kierownik Wydziału agitacji i propagandy KC, zagaśniając dyskusję o młodzieży.

DRUGI: Przyjmuję ten cytaty z należnym szacunkiem. Boję się tylko przyjąć za pewzłędłą prawdę zawartą w nim treść. Spodziewam się bowiem stąd nowego dla ZMP kłopotu. Czy aby nie pójdzie teraz w lud wieść, że „w KC powiedzieli": Każdy zetempowiec musi natychmiast pod rygiorem odpowiedzialności partyjnej wykazać się inicjatywą! Przynajmniej dwa razy dziennie! Przed obiadem i przed kolacją! Wtedy zjawia się — inicjatywa n a r o z k a z. Może nawet opracowane zostaną specjalne miesieczne arkusze sprawozdawcze „inicjatywy oddolnej" każdego z członków i nieczłonków? Jeżeli w rezultacie mody na omawianie tzw. spraw prywatnych z zakresu moralności niektórych aktywności terenowej zapytywani byli przez zwierzchnie instancje w oficjalnej korespondencji, czy mają dziewczynę i w jak i s p o s ó b z nią żyją, to teraz...

TRZECI: W żart można obrócić wszystko. Jeżeli jednak dyskusję o młodzieży w Komitecie Centralnym Partii zaczyna się od takiego stwierdzenia, nie trudno przewidzieć prawdziwą rewolucję w metodach pracy organizacyjnej i wychowawczej wśród młodzieży. Rewolucja w ZMP widziana w perspektywie przywrócenia znaczenia dyskusji, przywrócenia odpowiedniej rangi dyskusji światopoglądowej — musi doprowadzić do zmiany kierunku. Dotąd kierunek działania ZMP wychodził z góry na dół, teraz będzie ona szła również odwrotnie: z dołu do góry. Najłatwiej uzmysłowić to sobie na wykresach podobnych rocznym wykazom produkcji. Pierwszy (stary) wykres charakteryzował będzie s p a d e k, nowy wykres — w z n o s z e n i e się linii ku coraz wyższym wskaźnikom.

PIERWSZY: Coraz bardziej dochodzę do przekonania, że masz stanowczo błąka na punkcie rewolucji i rewolucyjności. Uważaj, aby nie powiedział ci tak jak pewnemu młodemu robotnikowi na konferencji przedzajdowej ZMP w Kielcach: „nie gadajcie nam tutaj kolego na tematy ideologiczne, nie doradźcie jeszcze. Powiedzie nam lepiej jak pracujecie, a pracujecie dobrze, jesteście przeciw przodownikom. Budujecie swoją pracę Polskę Ludową, i to jest dla nas najważniejsze". Towarzysze, który mi o tym opowiadał, był ogromnie wzburzony. Słusznie. Kielecki obrazek konferencyjny stanowił bowiem typowy przykład świadczenia o tym, że przyjął się u nas płaski relativizm. B u d o w a n i e Polski rozumiano na konferencji kieleckiej w zbyt d o s ł o w n y m sensie machania topata czy kilofem. W najlepszym razie ideologia, jaką pod to pojęcie podkładano wyrażała się sloganowo: Trzeba tak „postawić" robotę polityczną — wychowawczą aby służyć, który produkuje tylko śrubki, śrubki i nie więcej — potrafił dostrzec w i e l k a w a g e tej swojej m a l e j s r u b k i, aby dojrzał w niej w s z y t k o. Mówi się, że kropla wody może być odbiciem całego Oceanu. Metafory tej na śrubkę przenosić jednak nie należy. Nie śrubka skupiać powinna na sobie zainteresowanie, ale człowiek. Niestety, zbyt długo w wielu okolicznościach organizacji młodzieżowych d w i n e, złożone i trudne pojęcie: c z ł o w i e k — występowało jako

prosty liczman. Zbyt długo interesował nas człowiek tylko w jednym aspekcie. Szukaliśmy w ludzkich odruchach tylko tego co było determinowane jego przynależnością do określonej grupy społecznej. Sejsmografy instytucji wychowawczych budowane były na zbyt wąskiej zasadzie. Nadawały się tylko do rejestracji przeciętnych drgań umysłu i serca. Każde drgnięcie ponad normę wprawiało uczonych obsługujących wychowawcę sejsmografy w panikę. Zdawało się im, że zapowiadają co najmniej wybuch bomby wodorowej. W jednej z radzieckich powieści młodzieżowych o tematyce związanej z zaciąganiem pionierskim na budowy stalinowskich pięciolatek występuje dobrułowa postać starszuszka — lekarza, który zwykł pocieszać swych pacjentów w czasie mierzenia pulsu takimi powiedzonkami: „Co, gorączka? Nie martw się kochany! To ma tutaj każdy, i chory i zdrowy. Puls przyspieszony, rumieniec? To młodość kochany, to młodość! Medycyna nie znalazła jeszcze na nią lekarstwa". Otóż ile razy przypominam sobie postać tego lekarza — starszuszka, myślę o tych starszuskach — aktywistach młodzieżowych, którym się ubzdurzało, że wynaleźli medykament przeciw gorączce młodości: zaparowanie w planach pracy tylko pulsu przeciętnego. Komu serce mocniej bije — do łóżka i dać mu na poty!

TRZECI: Sam, drogi cytologu, przychodzisz na moje podwórko. Objaw wulgaryzowania złożonych problemów psychicznych, sprawozdania wszystkiego na płaszczyźnie ciasnego utilitaryzmu wiąże się moim zdaniem z tym, o czym mówił już poprzednio. Wychowawcy młodzieży a nawet część aktywistów zetempowskiego wyobrażają sobie szkolenie ideologiczne jako szkółkę. Szkółkę prowadzoną grzechem do muzeum, gdzie stoja figury z marmuru, brązu i granitu: KLASYCY marksizmu i BOHATEROWIE pozytywni z literatury dla młodzieży wzorowanej na „Kucharku doskonałym". „Kiedy słuchamy naszych wykładowców — żalą się słuchacze tych szkółek — mamy wrażenie, że pragnie się nam przedstawić Marksa jako Herkulesa, który już w kolebce urwał łeb Heglowi i już przy wypowiedzeniu pierwszego słowa „mama" stworzył pierwsze prawo dyalektyki". Zbyt często jako wzór osobowy godny naśladowania przedstawiano młodzieży (i tu na równi winien jest ZMP jak literatura współczesna) posagii miast żywych ludzi. Zbyt często propagowano też powszednią przeciętną codzienność jako bohaterstwo.

PIERWSZY: Młodym ludziom zbyt łatwo było zostać w ZMP bohaterami. Wystarczyło wykonać ileś tam normy ponad plan i już rozbrzmiewały surmy zwycięstwa. Jest takie stanowczo nadużywane w publicystyce określenie: front pracy. Z określeniem tym kojarzy mi się mądra wypowiedź mądrego Kalinina. Kalinin mówił wprawdzie o prawdziwym bohaterstwie frontowym, niemniej posłuchać go warto. A więc (cytuje): „W naszych gazetach często ukazują się artykuły w takiej formie: „Pod wieczór, gdy bój miał się ku końcowi a setki trupów niemieckich leżały w dołach, wszyscy dowiedzieli się, że starszy sierżant Rachalski z dobrze zamaskowanego karabinu maszynowego otworzył nieustający ogień na niemieckie nacierające kolumny i położył trupem pięćdziesięciu wrogów. Część i chwala sierżantowi Rachalskiemu! Wszyscy dowiedzieli się, że sierżant Tupoczenko lekceważąc śmierć odtłił faszystom czterech rannych żołnierzy i wyniósł ich z pola bitwy. Część i chwala sierżantowi Tupoczenko! Wszyscy dowiedzieli się, że w walce na bagnety czerwonoarmista Zyjenko zabił sześciu Niemców. Część i chwala czerwonoarmistom Zyjenko! Oto forma wystawiania się, jakiej nie radziłbym naśladować. Autor jak rozhułany bogacz rozkłada część i chwale niby wiazemskie pienniki. Jest to brak szacunku dla tych, którzy wykazali prawdziwe bohaterstwo, i dla czytelników. Autor ze służbowej notatki przytoczył dane: tacy a tacy uczynili to a to, a od siebie dodał tylko: „część i chwala!" Po co to okrzyki część i chwala, część i chwala? Chwała się nie igras. Chwały się nie rozkłada".

Czyż krytyki Kalinina nie można odnieść do praktyk naszej propagandy na (mówiąc dziennikarskim żargonem) „frontie pracy" i „oddolnego bohaterstwa produkcyjnego"? Podstawcie tylko tam gdzie mowa o strzelaniu — pracę ponad normę, zaś tam gdzie mowa o autorze — propagandę zetempowską, a zobaczycie zbieżność pewnych postaw aż zbyt wyraźną.

DRUGI: Zgoda. Ale pragnąłbym cofnąć rozmowę trochę wstecz, rozszerzyć twoje rozumowanie tym co mówił mi już o szkoleniu. Uczą się uczniowie w każdej szkole i studenci w każdej wyższej uczelni o teorii diamentu, uczą się też jak wielką rolę w postępie społecznym i gospodarczym grają sprzeczności. Ale do głowy nikomu nie przyjdzie, że te same prawa wykładane z katedry odgrywają jakąś rolę w życiu osobistym czy w życiu organizacji. W jednej z najlepszych powieści Gorbatawa pt. „Moje pokolenie" występuje Maksym Pietrowicz, doświadczonego partyjnika, przyjaciela

młodych bohaterów — komsomolców. Klóćcie się? — zapytał on pewnego razu przewodniczącego komsomolskiej komórki. — Ależ... Nie... Skądże znowu!... — zająknął się zapytany. — To źle, bardzo źle! Należy się klócić. Znaczący, że zaśnie dzieliście, albo jeszcze gorzej, jakiś ataman u was się zjawił.

TRZECI: Pozwól, że znów przerwę popis twojej erudycji uporczywym refrenem „pamiętacie". Pamiętacie zażarte dyskusje na ś. p. komisjach porozumiewawczych? Na seminariach Ossowskiej i Tatar-kiewicz? Na wieczorkach tanecznych? Klóćliśmy się, klóćliśmy się ze skutkiem. „Wyklóćliśmy" wreszcie z naszych szeregów kogo trzeba. I potem kłótni zabrakło. To było zrozumiałe. Nie wypadło czynić czegoś takiego co w szeregach zjednoczonej organizacji młodzieżowej mogło wyglądać na kontynuację dawnych sporów. Niestety, to co było słuszne w okresie p r z e j s c i o w y m, przeciągnęło się zbyt długo, tak długo aż zaczęli się wysuwać na plan pierwszy aktywiści, którzy po prostu mało mieli do powiedzenia i dlatego nie lubili kiedy kto inny zabierał głos. Stało się ostatnio modne hasło: „Skonczyć z komenderowaniem". Na komenderowanie zaczyna się patrzeć podobnie jak na seksualne zbroczenie.

Wymienia się nazwiska i piętnuje ludzi hołdujących komenderowaniu. Ale takie imienne wskazywanie palcem nic nie rozwiązuje i nie wyjaśnia. Ostatecznie — nie poszczególne jednostki są winne, tylko atmosfera, która spowodowała, że pokrzykiwacze mogli dojść do tak wielkiego znaczenia. Kiedy powstaje sytuacja przychylna komenderowaniu? Wtedy kiedy komenderujący czuje u innych niewiarę w skuteczność dyskusji. Kto nie posiadał umiejętności przekonywania, stara się ją zastąpić umiejętnym waleciem pięścią w stół przyzwydialny.

PIERWSZY: Słucham i gadam, ale zabijacie mnie, nie wiem jakie mogą być pozytywne z naszych narzekanek wnioski. Nie wykręcamy się, że jedynym wnioskiem będzie wypicie jeszcze jednej kawy i spokojny powrót do domu. Zresztą nie mam nawet na tę kawę ochoty, nie jestem zmęczony, wręcz przeciwnie. Kiedy zbieraliśmy się na nasze narzekania, czułem się podtasiśniętym „młodzieżowcem" wysiłkiem z obiegów. Nie wiem jak wy, ale ja w czasie naszej rozmowy, pod wpływem starych wspomnień, poczułem się młodszy o lat co najmniej dziesięć!

DRUGI: Sam, może nieświadomie, poddałeś ważki wniosek. Proklamowałeś ni mniej ni więcej tyl-

ko pionierski zaciąg do ZMP podtasiśnianych panów. Nie śmieję się z tego. Nie. Kłóć był według powszechnie panującego dotąd wśród młodzieży przekonania aktywiścią zetempowskim? Etałowy organizator, bez reszty oddany swojej „roboocie", ale właśnie dzięki temu często zawiązujący horyzont swoich zainteresowań. Czas pomyśleć o rozszerzeniu pojęcia „aktywiści (t. zn. po prostu działacza) młodzieżowego", którym z natury rzeczy jest każdy czynny społecznie i organizacyjnie młody robotnik, rolnik, uczeń, student, technik, żołnierz itd. itd.

PIERWSZY: Uparliśmy się prowadzić rozmowę torem krytyki. Czy słusznie? Chyba tak, choć mnie żenuje ta odwaga ujawniona dopiero po pełnej krytycznych tonów naradzie w KC. Na krytykowanie ZMP rzucili się „zsyzy hurmą, a ja jak Zagłoba tłułu nie lubię. Więc miło żywiołowej nienawici do wytartych ogólników chciałbym wyjaśnić, co moim zdaniem z rozmowy naszej wynika: Mamy młodzież ofiarną, wspaniałą, gotową do największych dla Polski Ludowej poświęceń. Jaka jest cecha charakterystyczna ruchu robotniczego? Wiara w człowieka, w jego wielką siłę, w jego ciągłe doskonalenie się. Wiara w to, że może on swoją działalność

cią przekształcać przyrodę, przekształcać społeczeństwo, przekształcać świat cały. Nie macie racji sprowadzając ocenę naszej rozmowy do narzekania. Nie narzekaliśmy, dawaliśmy tylko wyraz przekonaniu: nadszedł czas aby młodzież odczuła, że się ją ceni, że się jej wierzy i ufa.

*

Jest dawno po północy. Znowu patrzmy na siebie uważnie. I — co u licha? — jakoś nie liczymy sobie przerzedzonych włosów. Może naprawdę odmłodzieliśmy w czasie tej dyskusji?

Potem idziemy równo w nogę, byli ZWM-owicz i OMTUR-owicz rozmawiając po przyjacielsku. Nie przeszkadza nam pamięć tego, że przyjaźń nasza z kłótni wyrosła. Ulica jest ciemna i pusta. Zostawiliśmy za sobą przytulny pokój byłego „wiciarza" uważającego się dziś za marksistę. Idziemy ku swemu mieszkaniu. Zimno. Ślizgawica. Kulimy się pod wiatrem. Trzej panowie na lodzie.

A przede wszystkim na pewno potrafimy ująć się pod ręce, wyprostować i zaśpiewać młodą pieśń. Rewolucyjną.

Stefan Kozicki

SALOMON ŁASTIK

przestępczości wśród młodzieży

Chłopcy pracowali z zapalem, dając ustawicznie do coraz wyższego przekraczania norm. Świadomość polityczna i społeczna była w połączeniu z czynnością materialnym powodem do brych osiągnięć. Również czynny udział kadry wpłynął b. mobilizujący na chłopców, a szczególnie postawa ob. Dyrektora. Zespół nie pamięta ekipy, która by była równie dobra...

Kto tak pisze i do kogo skierowany jest ten hymn pochwalny? Jest to ocena pracy przez PGR w Sulinie (widnieją tu podpisy i kierownika gospodarstwa, i sekretarza KZ PZPR, i dyrektora Zespołu Dzwonowo, i przewodniczącego RRZ) chłopców z Domu Poprawczego w Tarnowie.

Entuzjazm ten nie jest głośliwym. Ma oparcie w bardzo realnych osiągnięciach. Wyliczę z 16 punktów kilka: wykopano w ciągu jednego miesiąca 39 ha ziemniaków w ilości 2340 q; dokonano omlotu 103,57 ton zboża; wysiano nawozy sztuczne na 162 ha; wykoszono 22 ha łąbiny; wyrwano, obcięto, zwieziono i zakopowano 11 ha buraków pastewnych; dokonano siewu żyta traktorem i siewnikami konnymi na areale o powierzchni 87 ha; przesuszowano 135 ton zboża w magazynie; dokonano konnej orki na 13 ha itd. itd. Za cały okres osiągnięto przeciętną około 230 proc. Niektórzy chłopcy osiągnęli ponad 600 proc. normy, zarobili około 2.000 zł., wszyscy razem zarobili brutto 57 tysięcy złotych, przy przeciętnym zarobku 1.360 zł.

Czy tylko chłopcy z Tarnowa tak świetnie spisali się podczas zbiorów urodzaju z PGR-owskich pól? Nie. W Ministerstwie Sprawiedliwości można przeczytać bardzo wiele pochlebnych słów o młodzieży z innych zakładów poprawczych. Fakt ten prowadzi do wniosku, że gdy młodzież ma przed sobą jakiś konkretny cel, gdy jej praca daje konkretne wyniki i ma jeszcze do dzieła materialny — daje ona wręcz zdumiewające rezultaty. Prowadzi też do wniosku, jak dalece owocne jest **współzawodnictwo i osobisty przykład** kadry wychowawczej. Dyrektor Domu Poprawczego w Tarnowie, ob. Ryszard Zapala, pracował razem z chłopcami, tak samo niektórzy wychowawcy — i w tych brigadach osiągnięto najlepsze wyniki. W jednej brigadzie wychowawca i dwóch „komendantów" ograniczyli się do nadzorowania pracy i brigada ta miała najmniejsze wyniki. Ta sama prawda daje się skonstatować na doświadczeniu z Orszewu, gdzie wiele dziewczętać wyrabiało 400 i więcej procent normy. By nie wprowadzić w błąd czytających, dodaję, że wyjechała młodzież cieszącą się dobrą opinią, że chłopcy i dziewczęta mających za sobą ucieczki czy też inne grzechy nie rzucające nadziei na przyzwolenie zachowanie się pozostawiono w zakładach. Ale i młodzież, która w akcji żniwnej czy też wykopkowej uczestniczyła, ma bądź co bądź dość niepochebne paragrafy. Dlatego więc nie było wypadków ucieczki, kradzieży, chuliganstwa, i młodzi służyli w dodatku „za przykład".

A przecież tam nie trzeba było przepustek na wyjście, nawet siatkowego ogrodzenia nie było!

Odpowiedź jest jedna: bo im **zaufano**, bo dano im **pole do popisu**, bo dobrze postawiono **współzawodnictwo**, i była **rozmaitość** prac. A to młodzieży odpowiada.

Mówię o tym, bo gdy chodziłem po zakładach mechanicznych w Orszewie, gdzie dziewczęta stały przy mechanicznym skrawaniu metali czy były młotkami w jakiejś blazki czy majstrowały przy ja-

Zobacz artykuł pod tym samym tytułem w nr 2 „Nowej Kultury".

kichś tam gwintach, widać było, że robia to bez wewnętrznej potrzeby. Rozmawiałem z przodownikami nauki drugiego roku szkoły mechanicznej. Żadna nie wyraziła chęci kontynuowania „na wolności" pracy w metalu. A więc po co taki nakład kosztów na przyszłowie dziewczętom zawodu, do którego nie czują zamiłowania?

Dziewczęta pracujące w krawiectwie na pewno wybrały sobie ten rodzaj pracy z pobudek wewnętrznych, ale i one mają za złe, że właściwie szycją tylko to co potrzebne do umundurowania domów poprawczych, a chciałyby się nauczyć szycia bluzek i sukienek, bielizniarstwa, artystycznego cerowania itp. Przecież zaprowadzenie mnóstwa takich zajęć nie jest zbyt kosztowne, a przyczyniłoby się do tego, by jak najwięcej dziewczętać zainteresowało się pracą i pracę pokochało.

Z chłopcami jest o wiele prościej. U chłopca łatwiej odszukać „pięte Achillesowe", jego słabości, łatwiej zainteresować go pracą, która go pochłonie. Poza tym daje się w nich zauważyć szerszą skalę zainteresowań w ogóle. Ten lub majsterkowanie, ów pracę przy maszynach, trzeci — chce prowadzić traktor czy auto, inny pali się do murarki czy ciesielki, inny znów jest zagorzałym sportowcem, a niektórzy wykazują szczerą zamiłowania artystyczne, muzyczne itp.

Z moralnie zwinnością dziewczętać jest gorzej. Dziewczęta takie nie lubią pracować, chętnie zajmują się albo „tworzeniem" albo przepisywaniem piosenek na tematy miłosne i rozpamiętywaniem przeżyć miłosnych. Zebrałem w Orszewie trzy zeszyty z piosenkami o dość swoistej wymowie i treści, czytałem tam „złote myśli" w specjalnie ozdobionych zeszytach z laurkami na każdej stronie. A „złote myśli" koleżanek dotyczyły takich problemów jak „kogo kocham naprawdę", „co zrobić gdy mnie zdradzi", „jak będę się bawić na wolności". Wpisywanie tych myśli odbywa się w świetlicy, podczas odrabiania lekcji. Czytałem też „grupy", w którym dziewczęta wyznaje „dozgonną miłość" innej dziewczęcinie z poprawczaka i umawia się z nią na rendez-vous... Dziewczęta takie bardzo o to dbają, by „dla oka" wyglądać przyzwoicie, ale brudy w pokojach, w których mieszkają czy w salach, w których przebywają — mało je obchodzi.

Ciekawe: chciałem zwiędzić pokój sypialne dziewczętać. Dwa dni z rzędu upominałem się o to i jakoś nigdy zastępczyni dyrektorki nie mogła znaleźć kluczy... U chłopców widziałem dobrze zasłane łóżka, czyste podłogi i malowidła własnej inwencji na ścianach.

W Orszewie jest cieplarnia. Można naliczyć setki doniczek z alpejkami, paprociami i innymi roślinami dekoracyjnymi, ale rzadko gdzie widzi się je w pokojach, a miejsce na klomby w podwórzu jest tylko zaśmieconym terenem. A przecież trzeba tym dziewczętom wpółić to czego albo nie miały albo zagubiły: poczucie piękna...

Stałem na polach okalających Dom w Orszewie, rozglądałem się po tym równinnym, jednolitym krajobrazie, rzadko gdzie urozmaicościom przez drzewko. Z dala dochodziło głuche buczenie młyna, rzadko przechodził człowiek zamieszkiwany murowane domy dawnej osady fabrycznej (pozostałość dawnej cukrowni) — i niewesołe myśli chodziły mi po głowie.

Jest chyba rzeczą pewną, że najżarliwszym wrogiem jednostajności jest młodzież, a tym bardziej młodzież, która prowadziła życie dość szumne i huczne, pełne przygód. I chyba najgorszym deprawatorem jest nuda. Ona to skłania dziewczę-

ta do objadania się bielunem, po którym chodzą na wpół przytomne z poszerzonymi źrenicami, czerwonymi wypiekami na twarzach — i bredzą głupstwa. Pech chciał, że akurat w czasie mego pobytu dojrzał ten chwast, który jedną z dziewczętać pozbawił przytomności, tak że trafiła do szpitala, a parę innych dziewczętać było sensacją ożenienia... A czy nie można by było każdej z nich w jakiś sposób czymś zainteresować? Jeżeli można było osiągnąć zupełnie dobre wyniki w PGR, można niewątpliwie i w Zakładzie. Ale trzeba w tym celu wyrugować element zbyt już zdeprawowany, dla którego Dom Poprawczy co tak łagodnym reżimie i tak ogólnym metodach nie jest miejscem odpowiednim — i co najważniejsze, stworzyć atmosferę **współzawodnictwa i współodpowiedzialności** za stan Domu.

Teoretycznie jest w Domach Poprawczych samorząd. Wybrani przez wychowanków poprawczaka komendanci stanowią właśnie to ciało samorządowe. W rzeczywistości zaś są oni tylko pomocnikami dozorcy, opiekunów i administracji. A gdyby tak stworzyć komisję sanitarną, odpowiedzialną za utrzymanie czystości w pokojach, komisję kulturalno — rozrywkową, komisję porządkową, sąd koleżeński, komisję naukową itp., które by większość wychowanków oddziaływały funkcjami, a wszystkie swoje spostrzeżenia i uwagi wyносиły przed forum ogólnego zebrania: gdyby było współzawodnictwo między komisjami — nie trzeba byłoby dowiadywać się o różnych niedozwolonych sprawach przez „kapusiów" (jak to czyni organizator ZMP w tarnowskim poprawczaku) i nie byłoby miejsca na terroryzowanie i zmuszanie do „sztaf" wśród dziewczętać w Orszewie, gdyż miałyby miejsce otwarte wymiana zdań, wspólna troska o to, by życie w Domu upływało w atmosferze czystości i zaufania.

Podkreślam to słowo, bo jak zauważyłem, właśnie brak zaufania wychowawców dla młodzieży z wyrokiem sądowym znieszkalał sprawę tak dalece, że trudno w niektórych wypadkach mówić o wychowawczym oddziaływaniu.

Gdy pytałem niektórych wychowawców w Orszewie o dane biograficzne podopiecznych, słyszałem taką odpowiedź: „nigdy nie pytamy za co siedzą". Jest chyba słuszną zasadą nie wypominać ukaranemu dokonanego przestępstwa. Byłoby jednak rzeczą niesłuszną, gdyby wychowawca ograniczał swoją wiedzę o podopiecznych do aktów śledztwa i przewodu sądowego — stworzenie klimatu zaufania między ukaranym a opiekunem, który by wywoływał zwierzenia młodych z ich drogi życiowej, z uczuć i myśli ich nurtujących, jest **zasadniczym warunkiem wychowawczego oddziaływania na podopiecznych**.

By wpływać wychowawczo na człowieka, trzeba go przede wszystkim znać. A w Orszewie słyszałem się z całkowitą nieznajomością młodzieży. Dotyczy to w równej mierze wychowawców i nauczycieli, co organizatorów ZMP. Funkcjona-ruszką ZMP dziwiła się, że udaje mi się szybko nawiązać kontakt, stworzyć atmosferę zaufania i wywołać chęć do zwierzeń (nie dotyczy to warszawskich chuliganek, te unikały mnie jak ognia). Bo jej się to nie udaje. I, mówiąc szczerze, nie może się udać. Ta dziewczęta, nie o wiele starsza od dziewczętać z zakładu poprawczego, o siedmiu oddziałach szkoły podstawowej i nikłej znajomości życia zacieranieli tylko z rodzinnego miasteczka, nie może się cieszyć autorytetem u dziewczętać przeważnie wielkomięskich i posiadających nieraz wykształcenie 9 i 10 klas szkoły ogólnokształcącej. I jeżeli organizator

zetempowski w Tarnowie wie nieco więcej (od strony wykroczeń tylko...) o chłopcach, to dzieje się dzięki systemowi k a p u s i ó w, którymi się posługuje. A co to oznacza? Oznacza to, że się deprawuje chłopców. Bo, jak wiadomo, donosiciele nie są ani trochę lepsi od zadenuncjowanych. Są to wyrachowane bestie, spekulujące na jakiejś przywileje i na dobrą opinię u władz — nie poza tym. Gdy więc opiekunowie ograniczają się do roli strażników więzienia o łagodnym reżimie, gdy nauczyciele (w większości wypadków) przysyłani tam z nakazem pracy) ograniczają się do odciążania przedmiotu wykładu, by odrazu ułotnić się do domu, gdy zetempowska organizacja (a taka istnieje) nie ma należytego, wnikliwego i umiejętnego kierownictwa — trudno mówić o wychowawczym oddziaływaniu.

Postawia pytanie: dlaczego w domach poprawczych jest tak mało sił fachowych? Czy nie jest to rezultatem opacznej polityki oszczędnościowej Ministerstwa Sprawiedliwości? Trzeba bowiem wiedzieć, że pensja wychowawcy w domu poprawczym jest tylko o dziesięć procent wyższa od normalnej pensji nauczycielskiej. A czy trzeba podkreślać, że praca jest tu cięższa i bardziej odpowiedzialna? Toteż jest wiele etatów nieobsadzonych i przyjmuje się ludzi bez przygotowania pedagogicznego. Wydaje mi się, że czas już sprawę uposażenia nauczycieli postawić w całej rozciągłości. Oszczędność ta kosztuje nas zbyt drogo: ucieczki i recydywy.

Charakterystyczny fakt: w Tarnowie można by statystycznie udowodnić, że ilość ucieczek jest wprost proporcjonalna do czasu nieobecności dyrektora Zakładu. Im dłużej nie ma dyrektora Ryszarda Zapalę, tym więcej jest ucieczek. A dlaczego? Bo on jest tym lubianym i szanowanym ojcem interesującym się bolączkami i potrzebami, znającym dokładnie biografie swoich wychowanków, umiejącym z nimi po ojcowski rozmawiać, zdobyć ich pełne zaufanie. A młodzież pragnie ciepła, bo tego ciepła jej brak, bo ojcowskiej opieki jest spragniona, gdyż w domu tego nie miała. Czytałem listy wychowanków, którzy opuścili Zakład i uderzyła mnie ich synowska serdeczność, dzielenie się swoimi osiągnięciami i planami na przyszłość. Tak pisze się do najbliższych. Gdy widziałem wzruszenie i dumę w oczach i głosie dyrektora, zrozumiałem, jak bardzo współżyje z radościami i smutkami swoich wychowanków.

Do Orszewa przyjechałem w chwili, gdy kierownictwo Zakładu przejęła od paru zaledwie dni doświadczony pedagog. I odrazu dziewczęta poczuły, że do tego człowieka można będzie przyjść ze swoimi bolączkami. Poczuły macierzyńskie ciepło i przyjazną dłoń. Czy uda się dyrektorowi przełamać i przestawić pracę na tory zaufania i serdeczności? Chcę wierzyć, że tak. Ciekawe. W ciągu kilku godzin jej obecności zwróciło się do niej sporo dziewczętać. Gdy wyjechała i pozostała jej zastępczyni, pracująca tu od dość dawna, żadna z dziewczętać do gabinetu nie zjawiła...

A więc sprawa stworzenia właściwych warunków dla pedagogów chętnych podjęcia się tej tak ciekawej i społecznie ważnej pracy sprawą nie cierpiącą zwłoki i powinna być załatwiona jak najrychlej.

*

Powinienem „podsumować" spostrzeżenia i wnioski natury wychowawczej — organizacyjnej, które mogłyby być materiałem dla analizy odnośnych władz. Nie uczynię tego. Wydaje mi się, że po tym co powiedziałem — byłaby to zbyt techniczna łopatologia.

Salomon Lastik

Tysiąc dziewięćset piąty

Dzień 22 stycznia — petersburska „Krwawa niedziela” — zapoczątkował rewolucję 1905 roku. Wydarzenia petersburskie głośnym echem odbiły się na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego. Podajemy opis walk styczniowych w Warszawie i Łodzi, piera nocy nocnych świadków i uczestników. Barwne maluje atmosferę ulicy warszawskiej w dniach styczniowych list sprawozdania Feliksa Dzierżyńskiego — który z ramienia Zarządu Głównego SDKPiL kieruje wówczas ruchem rewolucyjnym w Królestwie — do Komitetu Zagranicznego SDKPiL. Ze względów konspiracyjnych autor pisze o sobie w rodzaju żeńskim, a adresata tytułuje „Ciotunia”.

Burżuazja rosyjska i polska, potomkowie powstańczej szlachty polskiej i rosyjskiej pasażerzy herbowni, skupiając się koło rządu carskiego, podpierając przegniły i krwią splamiony tron azjatyckiego despotyzmu. Proletariat polski powinien odpowiedzieć na to, powstając w braterskim szeregu z rosyjskim proletariatem do walki o wspólną wolność polityczną dla stu dwudziestu milionów ludności, jęczącej pod jarzmem caratu.

Rosyjski robotnik już stanął na placu boju. Z głębi Rosji z północy, z południa, z dalekiego wschodu

dochodzą odgłosy rozpaczliwych starć jego z potworem caratu, grom zbliżającej się nawałnicy już walczy, walka zatacza coraz szersze kręgi. Honor polskiego robotnika wymaga, aby w tej walce, która zadaje cios śmiertelny tywierz despotyzmu i przybliży o krok potężny wyzwolenie socjalistyczne, i on stał w pierwszym szeregu. Proletariusze polscy. Wasze miejsce obok tysięcznych mas rosyjskich braci, stających w walce z caratem. Spieszcie na walkę.

Róża Luksemburg
Przegląd Robotniczy Nr 5. Organ Socjaldemokracji Król. Pol. i Litwy. Zürich, 1904 r.

Kiedy wśród masy robotniczej wrzało i kipiało i rozpoczęły się już poszczególne strajki, przysłała do Łodzi wiadomość o krwawej maszarce, dokonanej przez rząd carski nad robotnikami w Petersburgu w dniu 22 stycznia. Lotem błyskawicy oblała ona miasto. Wiadomość ta, że carat, który na dalekich wschodnich polach Mandżurii odbierał od Japonczyków ciężką cięgą, teraz wziął odwet na bezbronnym robotniku, zabijając ich tysiącami pod własnym pałacem — dopełniła czary. 26 stycznia stanęły fabryki Gajera, Leonharda, Dobranickiego i kilku innych. 27 strajk ogarnął większą jeszcze ilość fabryk, a 28 strajk już się rozszerzył na wszystkie fabryki, stanęła cała Łódź robotnicza: strajk był powszechny.

Miasto przedstawiało widowisko, jakiego dotąd nikt nie widział. Ulicami ciągnęły manifestacyjnie wielotysięczne masy robotnicze. Zwłaszcza wielkie tłumy manifestowały na ulicy Piotrkowskiej, tej

głównej arterii Łodzi. Mniejsze grupy robotników szły po innych ulicach, sprawdzając w każdym domu, każdym budynku, czy ktoś nie łamie powszechnej solidarności i nie pracuje; zdarzało się, że w małym warsztacie rękodzielniczym o niczym jeszcze nie wiedzą i pracowano, tam zjawienie się takich grup robotniczych, wzywających do porzucenia pracy, odnosiło natychmiastowy pożądany skutek. W ten sposób robotnicy, obchodzący fabryki, warsztaty, domy byli wszędzie witani entuzjastycznie i wszędzie też przyłączano się do strajku i do manifestujących. Wszędzie panował nadzwyczaj poważny nastrój. Policja gdzieś zupełnie zniknęła, mało się wrażeń, jak gdyby jej w mieście nie było — tak się pochowała zaskoczona wypadkami. Całe popołudnie 28 stycznia chodząc po mieście i jedynie na Piotrkowskiej koło Grand-Hotelu natrafiliśmy na mocno zbitego z tropu rewolucyjnego, który zresztą także wkrótce znikł...

N. N.
Rok 1905 w Łodzi „Z Pola Walki”
Nr 11—12, Moskwa 1931.

Warszawa, sobota—niedziela, noc 28—29 stycznia 1905 r.

Droga Ciotunia, Niech Ciocia się nie boi o mnie, nie zlego mi się nie stanie; siedzę w domu i przez te dni niespokojne będę siedziała i nigdzie nie wychodziła, niech Ciotunia będzie pewna. Straszne rzeczy tu się dzieją. Piszę pod wrażeniem zająć, w wielkim nieporządku — choć jednak donieść. W środę wieczór i czwartek rozpowszechniono 6 tysięcy odezw o Petersburgu, w sobotę i niedzielę 2 tysiące. W czwartek rozpoczął się w wielu fabrykach strajk, a w piątek — zastrajkowała reszta fabryk. Robotnicy chodzili od fabryki do fabryki i wstrzymywali robotę. Wszyscy z chęcią się przyłączali do strajku i szli dalej. W sobotę po południu już wszystkie fabryki stały, również wstrzymali pracę piekarze, dorożkarze, tramwajarze. Pisma przestały wychodzić, jak „Kurier Warszawski”, „Goniec”, „Gazeta Handlowa” i inne. W sobotę robotnicy zażądali również zamknięcia wszystkich sklepów — co uskuteczniło; gdzie nie usłuchano, tam wybijano szyby. Cukiernie też pozamykano — tak np. Zawistowskiego (róg Alei Jerozolimskiej i ul. Marszałkowskiej) — nie chciało zamknąć — to zaraz powybijano tam szyby. Burzuje w popłochu uciekali, robotnicy zaś mówili im, że frykasów nie powinni zająć, gdy lud chleba nie ma. W piątek zastrajkowały telefonistki ze stacji głównej, lecz obsadzono je policją i wojskiem. W sobotę jednak przeważały druty. W gazowni zastrajkowali też w piątek — obsadzono ją wojskiem, które pracowało. Lecz już w piątek kilkanaście tam oparzeń było — wzywano do żołnierzy przygotować. Wówczas robotnicy, a przeważnie małcy, porożbijali latarnie prawie na wszystkich ulicach.

Scena: idę dziś wieczorem — grupa robotników na Bagnie zapytuje mnie, czy nie uważam, że ta latarnia za jasno się świeci? — potakuję, wtedy biorą grude śniegu — bec, bec. Idę dalej. — Piekarnie w piątek już wszystkie stały — chleba nie ma wcale. Nafta podskoczyła w cenie z 10 do 30 kop. za kwartę. Dorożkarze nie chcieli strajkować, a także woźnice węgla i towaru. Do 12-tej w sobotę pozwalano im jeździć, lecz od południa musieli zaprzestać.

Scena: jedzie dorożka, na rogu grupa strajkujących zabiera ją — zmusza jadącego, by wysiadł, zapłacili dorożkarzowi, któremu każą do domu jechać. I tak na każdym rogu. Z tramwajami to samo — w razie oporu przewracano tramwaj. Na Marszałkowskiej 3 tramwaje przewrócono. To samo z wozami węgla — robotnicy zawracali konie na powrót do domu. Wodociąg obsadzono wojskiem. Strzuby zastrajkowały lub zostały przez władze rozpuszczone.

Policja pochowała się zupełnie. Po południu przeciągają już patroli wojskowe, lecz bardzo nieliczne: tak na rogu Twardej i Siennej o godz. 3-jej pierwszy raz od rana natrafiam na patrol, złożony z 15—20 żołnierzy piechoty z karabinami, obok dwa szeregi stójkowych; na czele pomocnik komisarza i rewirowy. „Razajdiś” krzyczą niepewnym głosem. Patrol idzie dalej, a robotnicy wracają.

Czasami przejeżdża wóz z chlebem pod eskortą kozaków lub konnych żandarmów. — Telefon do Łodzi zerwany.

Scena z piątku i soboty rano: można spotkać panów w cylindrach i wystrójone panie z bochenkiem chleba, który zdobyli za 70—80 kop. — Nadchodzi wieczór: miasto pogrążone w ciemnościach, gdzieś gdzie tylko latarnie się świecą — czuć zbliżenie się czegoś strasznego. Słychać nawoływania, tupanie — widać cienie przebiegające — każda brama przepelniona ludźmi. Bram nie zamykają. Policji nie ma. Rozbijają monopole, wódkę wylewają, flaszki biją — słychać głosy, że trzeba wódkę zniszczyć, by ludziska się nie popili, gdy głód będzie się srożył. Korzystają z tego łobuzy i podpalają sklepy monopolowe. Wybuchają pożary. Tak np. na rogu Wielkiej i Złotej o godz. 8-jej pali się monopol. Straż ogniowa nadjeżdża. Słychać od strony Wroniej strzelanie, które już nie ustaje do 11-jej w nocy. Na Siennej przy sklepie monopolowym, niedaleko od pl. Witkowskiego, walka. 5-ciu żołnierzy zamknęło się tam i strzelało — jeden robotnik na miejscu zabity, jeden śmiertelnie ranny, jednemu ramię przestrzelono na wyłot. Trupa położono do bramy i tam leżał, a robotnicy chcieli podpalić sklep wraz z żołnierzami, którzy się tam zabarykadowali. Idę dalej na plac Witkowskiego. P. przewie słyszę na placu strzelanie: rach, rach, rrrrach (pojedyncze wystrzały i salwa żołnierzy z ulicy Siennej ukosem w kierunku Miedzianej), a na to zaraz strzały robotników: trach, trach, trach (rewolwery). Po chwili znowu to samo, a potem cisza czas jakiś strasna i ciemność, w której nie rozpoznać nie można; po chwili znowu głosy robotników; żołnierzy już nie ma. Czy zabili tam kogo, nie wiem. Nagle krzyk — to rewirowy wysunął się z bramy domu swego, odebrał mu szabłę, rozciął nią głowę i sztylet w plecy wpakowano. Czy żyć będzie, nie wiadomo. — Słychać, że gdzieś gdzie rozbijają sklepy — to łobuzy korzystają z ciemności. W dzień robotnicy nie pozwalali im rozgrzebiać wozów z węglem, sklepów. Policji ani śladu. Żołnierze nie wychodzą już, zdaje się, dalej niż za Żelazną. Patrole nieznaczne po 15—20 osób. Od czasu do czasu znowu się po 8—10 kozaków na koniach. Jestem na Wielkiej — już pożar ugasiła straż.

Stoi tu silny oddział piechoty. Muszę okazywać to miejsce. Wchodzę do bramy na Wielkiej. Tłumu tu już nie ma. Raptiem krzyk (10 wieczór, a bramy zwykle zamykają o 11-jej): „Worota wsie zakryty!”. Wkrótce wpada do bramy pomocnik komisarza 8 cyrkulu, 2 rewirowych z oddziałem piechoty; bije w twarz stróża i jakiegoś robotnika (w bramie było nas 4 mężczyzn i 2 kobiety) i krzyczy „ubju!” Poszli dalej. Zjawia się policja, gdy nikogo już nie było. A na Wroniej strzelanina z rewolwerów: to widocznie łobuzy na wiwat, bo robotnicy nie marnowali by naboju. Czeka ją jutra. Z Żelaznej, z Ciepłej dochodzą odgłosy trabek żoł-

nierskich — sygnałowych. Na rogu Grzybowskiej i Wroniej barykady z sanek, pudełek monopolowych.

O 10½ słychać z Wroniej okrzyki: „wiwat!” O 11-jej uciekło. Pozorna to cisza — bramy otwarte tu, bo tak robotnicy stróżom nakazali: muszą być otwarte, by było gdzie schronić się od kul karabinowych; o 11½ wracam, na Ciepłej spotykam okrwawionego robotnika — to policjanci już go spotkali samotnego i szabłą go w twarz uderzyli. Słyszę potem krzyk rozpaczliwy kobiety — to policjanci ją też samotną pociągali gdzieś. Patrole zaś żołnierskie nie zaczęły po pojedynczych. Są to fakty, których byłem nocnym świadkiem.

Jutro: 1) socjaldemokratyczna de-

monstracja z Bundem i 2) demonstracja PPS. Oczekują strasznych wypadków. Z całego zachowania się policji widać, że jutro wojsko wystąpi. Stróża żadnych instrukcji nie mieli jeszcze od policji. Na Marszałkowskiej jednak o godz. 7-jej huzarzy z szablami obnażonymi rzucili się na chodniki. Z innych dzielnic wiadomości nie mam jeszcze. Zorientować się w całokształcie niemożliwe. PPS wydała odezwę z żądaniem tylko ekonomicznymi, ani jednego hasła politycznego. Żądania socjaldemokracji: 8 godzin pracy, 42-godzinny tygodniowo odpoczynek, zniesienie pracy pojącej-rantowej i nocnej, podwyższenie płacy, ubezpieczenie państwowe, inspekcja fabryczna, zniesienie kar

i rewizji, roboty publiczne dla bezrobotnych, zniesienie samowładztwa, republika demokratyczna, zgromadzenie konstytuujące, zawarcie pokoju etc. Gdy odezwa Komitetu Warszawskiego będzie gotowa, przysię rękopis może jutro wysię. A teraz z opowiadań donoszę: w piątek wieczorem robotnicy zabili oficera żandarmerii i 2 żandarmów, którzy sprowokowali robotników. Podajcie to zaraz do „Nowej Reformy” i do „Iskry”. Róży wysłać kopię na wszelki wypadek, zaraz jej prześlijcie. Inaczej pisać nie mogę.

Niech kochana Ciocia wybaczy mi takie pisanie. Jestem strasznie podniecona. Caluję, rączki.

I. (Feliks Dzierżyński).



Mal. W. Mazurowski

Tak się zdarzyło, że tego dnia zwolniono mnie wraz z kilku towarzyszymi z X-go pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Dorożek nie było. Z tłumokiem na plecach udałem się na piechotę do miasta. Dzielnica Muranowska. Ciemności i pustki pełne. Latarnie gazowe porzobiane. Od czasu do czasu galopem przelatuje patrol kozaków.

Na Lesznie z daleka zobaczyłem łunę pożaru. Płonął sklep monopolu wódczanego. Czerwone i niebieskawe odbłaski płomieni rozświetlały od czasu do czasu awaryjne zgromadzone ludzi. Nastrój był poważny i uroczysty. Pilnie śledzono, by nikt nie śmiał rabować butelek z wódką. Przy mnie kilku amatorów dotkliwie pobito, a butelki rozbijano o bruk. Nie było ani jednego pijanego.

W miarę jak zbliżałem się ku Woli, coraz rojniej i głośniej było na ciemnych ulicach. Na rogu Żelaznej słup ognia wydobywał się ze złamanej latarni gazowej. Przy tym blasku grupa ludzi metodycznie wyciągała druty i śrubki z mufy telefonicznej. Ktoś gdzieś rzucił hasło puszcia telefonów, zrywania łączności. W cyrkule policyjnym na Chłodnej wszystkie szyby były wybite. Otaczał go kordon żołnierzy i policjantów. Zachowywali się biernie.

Na Wroniej z daleka dosłyszalem okrzyki tłumu: Precz! Precz! Wkrótce dosłyszalem wznoszone hasła: Precz z caratem! Precz z wojną! Śmierć katom! — W chwilę później zabrzmiął zrazu nieskładnie, potem coraz lepiej — śpiew Czerwonego Sztandaru.

W pewnej chwili do dźwięków pieśni domieszał się głuchy rytm maszerujących żołnierzy, głos komendy i stuk kół karabinowych o bruk ulicy. Później okrzyk: „Razajdiś! Budu strelat!”

Śpiew zmieszał się, urwał. Rozgwar głosów. Burzliwe okrzyki: Precz! Komenda, Szczek karabinów. Chwila naprężonej ciszy. Ciemność. Nagle blask zapalki. Ktoś obok mnie oświecił umyślnie swą twarz. Widzę zapaloną, natchnioną gniewem twarz młodego robotnika: Morsz! Celuj! Strzelaj sukinywnie!

Wrzawa tysięcznych okrzyków zagłuszała nową komendę. Po chwili dosłyszalem oddalające się kroki wojska. Ten oddział nie wazył się strzelać. Ale gdzieś indziej, po całej Warszawie, tego wieczora i cały dzień i stępną lała się krew. Padali salwy na chyblił trafiał wzdłuż ulic. Koczcy szarżowali z gołymi szablami. Robotnicy bronili się jak mogli.

Dusila nas wieściółko: Przekleństwo gołych rak przeciwko karabinom.

A przecież w tych właśnie dniach, pomimo braku broni, klasa robotnicza poczuła się nagle olbrzymią

potęgą i groza caratu nieskończenie zmalała w naszych oczach.

To nagłe objawienie własnej siły wynikało przede wszystkim z olśniewającego faktu, jakim było solidarne wystąpienie klasy robotniczej na niezmiernych wielonarodowych i wielojęzycznych obszarach carskiej Rosji. Nie znano jeszcze w Warszawie szczegółów „krwawej niedzieli” petersburskiej 22 stycznia (9 stycznia według starego stylu). Warszawa, Łódź i za nimi cała Kongresówka ruszyły do strajku powszechnego i do masowych wystąpień ulicznych solidarnie i żywiołowo na pierwszą wiadomość, że krew się leje w Petersburgu. Ten sam ruch objął Moskwę, Charków, Rygę, Baku — wszystkie wielkie miasta i okręgi przemysłowe. Przerzucił się jak iskra elektryczna, szerzył się jak pożar w stepie.

Dopiero znacznie później stał się wiadomy przebieg wypadków, które doprowadziły do „krwawej niedzieli”. Iskrą, co wzniciła pożar było krzywdzące wydalenie czterech robotników z zakładów putiłowskich (dziś zakłady imienia Kierowa). Odpowiedzią był strajk w tych zakładach, który porwał za sobą cały Petersburg i przerósł w strajk powszechny. Pop Gapon, postawiony przez policję na czele legalnej, założonej dla celów policyjnych, organizacji robotniczej, namówił robotników do tłumnego udania się pod pałac carski w celu złożenia petycji. Pochód ruszył z ikonami i portretami cara. Spotkały go salwy karabinowe. Padło trupem około tysiąca robotników i 2.000 rannych. Ale jeśli policja carska liczyła na stłumienie wrzenia rewolucyjnego przez upust krwi, to skutek był wręcz przeciwny. Tego dnia rozstrzelano najwinną wiarę ludu rosyjskiego w cara. Klasa robotnicza Rosji wstąpiła bezpowrotnie na drogę walki z caratem, od której nie dała się już nigdy odwieść ani terrorem ani ochłapami

ustępstw — aż do ostatecznego zwycięstwa.

Ta czołowa rola klasy robotniczej znalazła wyraz między innymi, we wzroście poczucia godności własnej robotników i wszystkich pracujących i w zmienionym do nich stosunku. Podczas strajków ekonomicznych, które szeroką falą rozlały się po dniach styczniowych — przemysłowcy po raz pierwszy zmuszeni byli dyskutować, jak równy z równym, z delegatami robotników. Był to dla Polski olbrzymi krok naprzód ku demokratyzacji pojęć i obyczajów. Ta zdobycz została w znacznej mierze utrzymana.

Za robotnikami miast podjęli walkę o poprawę bytu robotnicy rolni. Poruszyły się szerokie koła inteligencji. Ożywił się i wyrósł w krótkim czasie ruch chłopski. Do hasła wolności politycznej, o którą walczyła cała ówczesna Rosja, dołączyły się dążenia narodowe. W wielu gminach wprowadzono żywiołowe urzędowanie w języku polskim. Żądano polskiej szkoły i polskiego sądownictwa.

Revolucja rosyjska 1905 roku promieniowała na kraje ościenne. W zaborze austriackim i w całej Austrii strajk powszechny stał się orężem walki o powszechne prawa wyborcze. W Turcji, w Iranie, w Chinach wzmożył się pod wpływem wypadków w Rosji ruchy wolnościowe i narodowo-wyzwoleńcze.

Była więc rewolucja 1905 roku wielkim bodźcem w pochodzie ludzkości ku lepszym formom współżycia, ku wolności, demokracji, sprawiedliwości społecznej.

Polska może się chlubić, że stała w pierwszych szeregach tego ruchu. Polska zaboru rosyjskiego stała w roku 1905 i w latach następnych niezmiennie ręką w rękę z narodem rosyjskim i ze wszystkimi narodami carskiego imperium przeciw wspólnemu wrogowi.

Julian Bronowicz (Brun)
Z artykułu „Z dni styczniowych 1905 roku”. 1942 r.

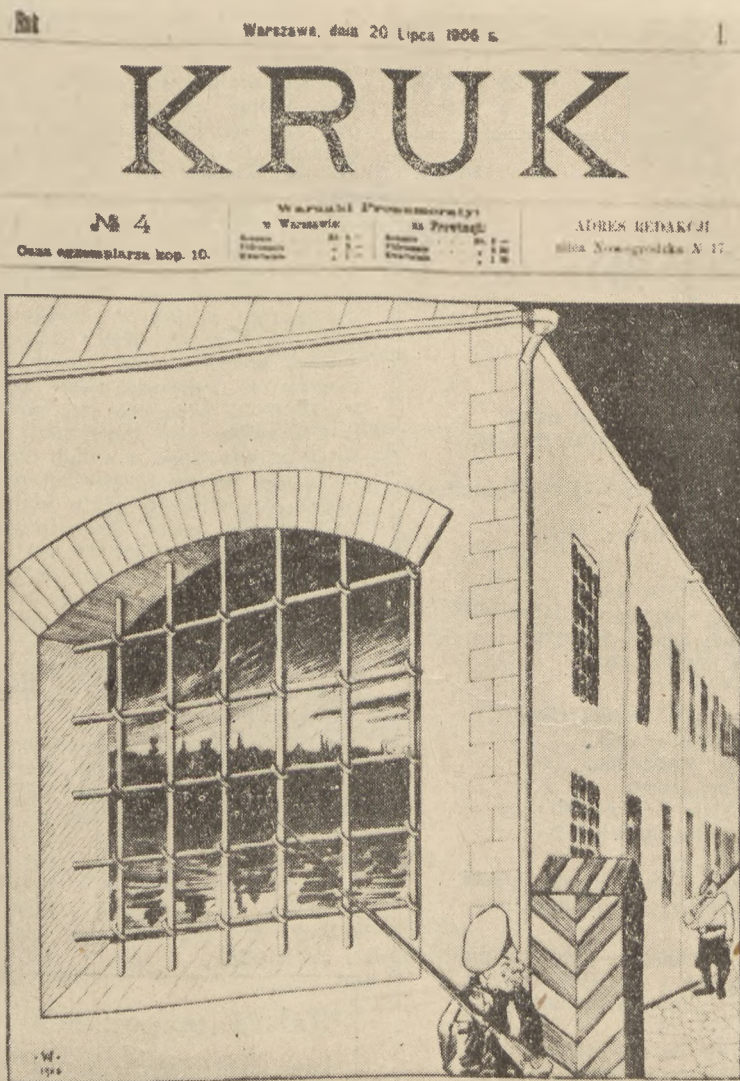
Niech więc nędzna małoduszność, umiejąca chwycić dłoń tylko groźną miastem natychmiastowego, materialnego, namacalnego powodzenia, rozprawia o „nieudanej rewolucji”, o bezowocnym „ogniu słomianym” powstania petersburskiego, ponieważ absolutyzm formalnie jeszcze istnieje, zgromadzenie konstytucyjne nie zostało jeszcze zwołane, a robotnicy, dziś strajkujący, jutro może powrócą pozornie do zwykłego trybu życia. Lecz w rzeczywistości wypadki styczniowe zrobiły w społeczeństwie rosyjskim wyłom, który już zalepiony być nie może. Ani carat, ani klasa robotnicza, ani społeczeństwo nie wyjdą z tego wiru rewolucyjnego takimi, jakimi były poprzednio. Carat wewnętrznie o-

Róża Luksemburg

„Neue Zeit” Nr 19 z 4 II.1905.

Wybrał i zestawil

Stefan Klonowski



Z dyskusji na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich

BENIAMIN KAWERIN

(F R A G M E N T Y)

O potrzebie doskonalenia kunsztu pisarskiego

Prawdziwa literatura zaczyna się tam, gdzie mamy do czynienia z odkryciem, i to odkryciem nie tylko dla czytelnika, lecz również dla pisarza. Prawdziwa powieść winna być tak zbudowana, żeby — jeżeli się ją rozsypane na pojedyncze strony, mogło ją złożyć na powrót nawet dziecko. Tym się właśnie różni utwór oryginalny od kroniki, inwentarza sprostowań, od literatury tylko pozornej, w której materiał dominuje nad samą sztuką. Można sobie wyobrazić długą galerię utworów o tematyce wojennej, w których stopień transformacji artystycznej materiału będzie stopniowo wzrastał, osiągając coraz większy kunszt i głębie. Znajdą się tutaj „Ludzie o czystym sumieniu” P. Werszory i „W okopach Stalingradu” W. Niekrasowa i znakomita z tego punktu widzenia opowieść E. Kazakiewicza „Serce przyjaciela” i powieść W. Grossmana „O służną sprawę”, która jak dotąd nie znalazła uznania na jakie zasługuje.

Ale z uczuciem zawodu spotykacie w tej galerii książki, których nie daj boże rozsypać, bo niestety nawet sami autorzy nie byłiby w stanie określić następstwa stron, gdyby nie ponumerowała ich uprzednio maszynistka. Faktycznie są to autorzy książek jeszcze nie napisanych. Książki ich zostały opublikowane, są one jednak ledwie niewprawnymi brulionami tego co mogło i powinno było powstać. Autorzy podobnych książek są ludźmi, którzy nie przeszli zawodowej szkoły pisarskiej, stanęli wobec trudności techniki pisania, nie pomnożyli sił swego talentu. To się dotyczy nie tylko pisarzy młodych. Pisarze, którzy swoimi pierwszymi książkami dowiedli, że mają coś do powiedzenia narodowi, nie mają prawa zaprzestać pracy. Te nienapisane książki zajmują miejsce na półkach

bibliotecznych, w księgarniach, w tekstach redakcyjnych. Być może, gdyby poziom pracy redakcyjnej naszych czasopism i wydawnictw był o wiele wyższy, niejedna z tych książek zajęłaby miejsce nie tylko na półce bibliotecznego, lecz również w świadomości czytelnika.

Szkola kunsztu literackiego, technika pracy pisarskiej, oto sprawy, o których należy mówić tam, gdzie pisarze się zebrali dla omówienia zadań wynikających z ich zawodu. Trzeba mówić o tym, jak należy pracować. Dziesiątki wątpliwości opadają powieściopisarza, który pisał czy szósty rok z kolei pisze swą wielką książkę: czy ten lub inny bohater został przedstawiony zgodnie z prawdą? czy udało się zarysować prawdziwą sytuację? czy interesującą snuje się fabuła? czy jest zachowana wierność realiom i — co najważniejsze — czy utwór jego posuwa choć o krok naprzód naszą literaturę? I z tak udręczoną tymi wątpliwościami głową idzie on na to czy inne zebranie. A tam pisarze jeden za drugim występują z przemówieniami, w których o literaturze jako takiej nie ma ani słowa.

Życie Związku Pisarzy Radzieckich zajmuje wszystkich z wszystkimi jego zaletami i wadami, a życie literatury rysuje się dla niejednego z nas mglście, gdzieś na dalszym planie. Mamy wielką, umiłowaną przez naród, mającą najbardziej odpowiedzialnego w świecie czytelnika literaturę, która zyskała już sobie znaczenie światowe. Ale w jej złożonym domostwie czeka nas jeszcze bardzo wiele prac.

W ogólnym obrazie przyszłości, jaki się rysuje przed moimi oczyma, wiele rzeczy wygląda na razie nieco fantastycznie. Ale od nas właśnie zależy wypełnienie tego obrazu rzeczywistością treścią prawdziwego życia...

Beniamin Kawerin

MARIETTA SZAGINIAN

O odrodzenie krytyki literackiej

Kiedy słuchałam wyczerpującego referatu Borysa Riurikowa, który robi wrażenie, jak gdyby o niczym w nim nie zapomniano, powoli, powoli poczęła się we mnie budzić myśl, że podstawową funkcją krytyki jest krytykowanie krytyków oraz demaskowanie ich fałszywych teorii i błędów. Natomiast właściwy przedmiot krytyki, to znaczy sama literatura piękna, został jakoś zatarty, oddalony. I wówczas wkradła mi się do głowy myśl hereetycka — czy permanentna słabość i zapożyczenia naszej krytyki, o których mówimy już przeszło dwadzieścia lat, nie jest aby następstwem owego chronicznego nawyku krytyków do wzajemnego demaskowania się, zamiast rozpatrywania zjawisk literatury pięknej. (Oklaski)

„Wydałam mi się, że oprócz talentu, smaku literackiego, bez którego lepiej nie próbować nawet pisania o formie dzieła, że oprócz dobrej znajomości życia oraz szerokiej i bogatej wiedzy, krytyk wypowiadający własne oceny winien być najoęższej przekonywany o słuszności tych ocen i przygotowany do obrony swych przekonań przy pomocy całego arsenału środków intelektualnych, jakimi dysponuje.”

Tymczasem jednak brak nam jest właśnie owej gorącej siły przekonania. Z roku na rok tłumi je u naszych krytyków takie stanowisko wobec przedmiotu oceny, jakie można by nazwać stanowiskiem „konjunkturalnym”. Zgodność poglądów naszej krytyki, wówczas kiedy mamy do czynienia z rzeczą świadomie szkodliwą ideologicznie i politycznie, jest wielką siłą, która słusznie kształtuje opinię całego narodu. Ale oto leży przed nami najzwyczajniejsza powieść dobrego pisarza. Dzisiaj oceniana jest ona przez krytykę a w następstwie przez bibliotekarzy, wydawnictwa i redaktorów jako dobra. Jutro zaś okazuje się negatywna jej ocena w prasie i natychmiast, jak gdyby za skinięciem różdżki czarodziejskiej, wszystko się zmienia dookoła. Ci, co bronili i chwaliли powieść, występują przeciw niej, a bibliotekarze, wydawnictwa i redaktorzy podporządkowują się wyrokowi, jak gdyby chodziło tutaj o jakiś dekret prawny. A krytykowi, który wie, że powieść jest dobra i argumenty wytaczane przeciw niej są bezpodstawne i nieprzekonujące, brak po prostu odwagi cywilnej do wystąpienia w obronie powieści i zaangażowania swej pasji w takiej walce. (Oklaski)

W ten sposób krytyk daje znać, że mało go w istocie obchodzi, że czy w istocie ocena dzieła, rzetelne omówienie go. Najważniejszym jego pragnieniem jest utratienie w tonację kształtującej się koniunktury, wywołanej często nawet nie samym utworem lecz warunkami ubocznymi, na przykład poglądami osobistymi poszczególnych członków sekretariatu Związku Pisarzy.

wrażliwa i głęboka, znała słabe strony swego wielkiego talentu i usiłowała je przełamać. Pracowała nad nowym utworem prawie cztery lata, i o ilej więcej włożyła w ten znajomości życia, pasji i głębokiej myśli, aniżeli w pierwsze swe utwory. „Pory roku” świadczą same o tej wielkiej pracy pisarza.

A cóż uczyniła krytyka? Właśnie ta powieść, w której Wiera Panowa dokonała kroku wprzód, w której jej własne autorskie „ja” uczestniczy o wiele konkretniej i z większym stopniem zaangażowania aniżeli w pierwszych jej powieściach, ta powieść — a w opracowanie materiału do niej włożyła autorka szczególne wiele wysiłku twórczego — została oszkalowana przez niesprawiedliwy artykuł Koczetowa.

„Wypadło mi niedawno przeczytać powieść młodego pisarza niemieckiego Erwina Strittmattiera — „Poganiacz wółw”. Jest to opowieść o dokonującej się zwolna przemianie psychologii biednego chłopaka, wiejskiego parobka, przyszedłszy do pracy w fabryce — o procesie stopniowego rewolucjonizowania się jego świadomości. Temat bardzo nam bliski, a z jaką sugestią artystyczną napisana jest ta książka, jakże prosto i trafnie, rys za rys, krótkimi, zwięzłymi, pełnymi dynamiki zdaniem.

Czytając myślałam o tym że autor z pewnością przeżył to wszystko sam i posiada w swej wyobraźni, w swym sercu olbrzymi materiał, znany mu z tą absolutną wiernością, która nie zawiedzie pamięci i zawsze odnajdzie najpotrzebniejszą barwę czy obraz. I autor właśnie z powodu owego nadmiaaru najdokładniej przyswojonego i nigdy nie zacierającego się w pamięci materiału zaczyna chęć nie chęć wprowadzać oszczędność środków wyrazu, dąży z ich pomocą do uogólnień, ażeby podolać przekazaniu całej masy realiów poprzez krótką formułkę artystyczną zdolną ogarnąć niezmierzone bogactwo zjawisk świata.

I całkiem mimo woli przychodzi mi do głowy, że sztuka pisania wywodzi się z selekcji, z poszukiwań najbardziej oszczędnych środków wyrazu. Ale w ogóle zjawia się ona dopiero wówczas, kiedy pisarz dysponuje bogactwem wiedzy o świecie, przeżył, przemysleł, doświadczył lektury, przekonań wiążących się z najszerszym otoczeniem wielkich wydarzeń swego czasu. Tylko posiadając nadmiar materiału, znając go najdokładniej i wiernie, można rozpocząć pracę doskonalenia swego rzemiosła pisarskiego. Przeciwnie w każdej dziedzinie, poczynając od bryli marmuru w pracowni rzeźbiarza aż do kawałka skóry na warsztacie cholewkarza, materiał winien być z nadmiarem.

winnego go być więcej niż to co wyjdzie spod dłuta rzeźbiarza czy też suod noża szewca. I oto przychodzi do głowy natrętna myśl, czy nie dlatego właśnie niektórzy z nas zaczęli pisać kiepsko, czy nie dlatego ukazało się u nas tak wiele, szarych, rozdeptanych i amorficznych książek, nie mogących się pomieścić w jednym tomie, że tworzywo powieści, jakim dysponuje pisarz, nie tylko nie posiada naddatków, lecz — jak to się mówi — leżało w powietrzu, że nie było twórczości, nie będąc przy tym dostatecznie przyswojone, znane i przeżyte całą siłą temperamentu twórczego, nie będąc rezultatem wielkiego, latami doświadczanego zdobywanego i głęboko przemyślanego systemu idei.

I czy nie tu właśnie autor, podejmując pracę nad tak skąpym materiałem, miast doskonalenia własnej sztuki pisarskiej zaczyna jak najwięcej dotwarzać aby wypełnić jego niedobór. Wtedy rozdyma, rozdyma książkę, aż staje się ona wreszcie bezkształtną i bezbarwną masą, a autor usiłuje przysłonić pływającą tekturą makietałami złe poznaność życia.

Towarzysze! Wskazania Komitetu Centralnego naszej partii zawarte w powołanym Zjeździe — że literatura radziecka będąc natchnieniem pisarzy zagranicznych w ich trudzie budowania nowej, postępowej sztuki, wzbogaca się również sama, przy czym korzysta z najwybitniejszych osiągnięć postępowych pisarzy zagranicy i powinna w swej walce o mistrzostwo artystyczne korzystać z najcenniejszych doświadczeń przyjaciół zagranicznych — to wskazania wielkiej mądrości, a przychodzą one do nas w samą porę.

Kultura jest zjawiskiem rządzącym się nie tylko prawem selekcji, lecz i gromadzenia, skupiania rzeczy. Nigdy nie może ona wyrastać i rozwijać się w oparciu o same „nie”. Lenin w konspiekcie książki Hegla — „Nauka logiki” napisał znakomite słowa:

„Nie naga negacja, nie jałowa negacja, nie sceptyczna negacja, wahanie, wątpliwość są charakterystyczne i istotne dla dialektyki — która niewątpliwie zawiera w sobie element negacji, przy tym jako najważniejszy swój element — nie, lecz negacja jako moment powiązania, jako moment rozwoju, z zachowaniem tego co pozytywne, to znaczy bez żadnych wahań, bez żadnej eklektyki”.

Zastanówcie się nad tym głęboko! Dla Lenina moment zachowania przy negacji tego co pozytywne jest istotny nawet dla samego zjawiska negacji. W naszej pracy krytycznej pamiętajmy o tych wielkich słowach Lenina! (Oklaski)

Marietta Szaginan

ALEKSANDER FADIEJEW

Literatura — frontem walki ideologicznej

W pewnej części swego przemówienia chciałbym zwrócić się również ku przeszłości i spojrzeć krytycznie na przebieg naszej drogi rozwoju. Z tym większym więc prawem pozwolę sobie nie zgodzić się z wypowiedzianymi poszczególnych literatów, skłonnych rozpatrywać ostatnie lata rozwoju literatury radzieckiej omyłkami jako nieprzerwany proces „pozostawiania w tyle”.

Pracując w literaturze radzieckiej przeszło trzydzieści lat i zarówno mnie jak wielu pisarzom mojego

pokolenia wypadło już nieraz wysłuchiwać podobnych utyskiwań. Zawsze, kiedy kraj przechodził w nowy, wyższy etap rozwoju, kiedy warki nurt naszego życia szczególnie wyraźnie dawać znać, że wielkie życie narodu nie dość szeroko i w sposób niepełny znajduje wyraz w utworach literackich, odzywają się wówczas pojedyncze głosy, że literatura znajduje się omyłkami nie „w upadku”. W rzeczywistości zaś literatura się rozwija, meźniej, ogarnia wciąż nowe dziedziny życia, a liczba literatów zdolnych do rozstrzygnięcia wielu złożonych zadań natury artystycznej wciąż rośnie.

BOGDAN OSTROMĘCKI

ŻOŁNIERZE WOJEN IMPERIALISTYCZNYCH

Przywaleni ciężarem,
przywaleni zagrożą daremną popiołu
czykamy ciągle nad wami —
przywaleni ciężarem,
patrzmy spod powiek zastygłych w żalobny olów.

Patrzmy na wasze dłonie,
patrzmy, gdzie uderza każdy wasz krok.
Dzień mija za dniem. Ale wiecie
o wiecie dobrze o tym, że przez wieki
będzie was palił ten wzrok.

Przywaleni ciężarem
patrzmy wprost i surowo, jak wtedy
i tych żrących ostrych żądna noc
nie otuli, nie zgasi, nie stępi.
Przywaleni ciężarem
ze sztandarem podartym na strzępy.

Myśmy padli w bojach daremnie
nie dla lepszej doli ludzkiej,
jakis handlarz śmierci naszą i życie
sprzedał podstępnie.

Przywaleni ciężarem popiołu,
jarmem bolesnej nicości
przywaleni ciężarem
troski o was,
troski krwawej i czarnej.
O życie bez krwi i ciemności.

NAJAZD

Kraju mój, kraju w rannej ciszy,
daleki kraju zapomniany...

Gdzie znowu jesień grzmi nad nami,
dymiące pola w zapachu uschłych traw
i niebo drży o piątę rano
i gdzieś nad brzegiem płytkiej rzeki
w wybuchach krótkich
do ziemi przyściśnięta twarz.

I znowu pogłos tamtych nocy,
pośpiech wdziałek, przemarsz widm,
hurgot na drogach, łomot maszyn,
benzyny swąd i błyski krwi.

Gdzieś za morskami w rannej ciszy
to echo znane znowu grzmi,
daleka ziemia na Mazowszu,
daleka jesień psieje liście
po drogach polskich spod gałęzi
przymrozkiem ścięte ciężkie ły.

Lecz wszędzie tam, gdzie ciemne błyski
podnoszą się spod ciężkich chmur...

W trzcinowych wioskach, w cieniu gór
w gajach wilgotnych i upalnych
gdzie bój z drapieżną wrę przemocą
rodzi się wiek,
kiedy krew spłynie po raz ostatni
nad czysj ojczysty, drogi brzeg.

Przypomnijmy lata pierwszej pieciolatki. Jeżeli sędzić na podstawie niektórych artykułów publikowanych w czasopiśmie owego czasu, można naprawdę pomyśleć, że rozwój literatury został zahamowany. Tymczasem właśnie lata pierwszej pieciolatki przyniosły nam takie utwory jak „Zorany ugor” Szolochowa, „Piotr I” Tolstoj, „Nad rzeką Socia” Leonowa, „Naprzód, chasie!” Katajewa, „Bruski” Panfierowa, „Opowiadanie o wielkim planie” Iljina, „Zaporę wodną” Szaginan, „Dzień wtóry” Erenburga.

Trzeba wziąć pod uwagę to, że tylko w ostatnim roku — półtora ukazały się: „Las rosyjski” Leonowa, „Niedobre czasy” Gładkowa, „O służną sprawę” Grossmana — utwory, które można wymienić jako wybitne zjawiska w prozie rosyjskiej. Ukazały się również książki całkiem dobre, jak „Niebo bałtyckie” M. Czukowskiego, „Poszukiwacze” Granina, „Serce przyjaciela” E. Kazakiewicza, „Opowieść o dyrektorku MTS i głównym agronomie” H. Nikolajewej oraz cykl reportaży W. Owieczkina. (Oklaski)

W większości swej są to książki nowe, przy czym powieść „O służną sprawę”, podobnie jak opowieść „Serce przyjaciela” w rezultacie krytyki, która ich nie ominęła, została przez autorów przerobiona. Obecnie książki te słusznie zajmują miejsce w rzędzie najlepszych utworów minionego roku.

Wymieniłem tu tylko osiem książek ostatniego okresu i żaden literat o wrażliwym sercu artysty i wymagającym stosunku do literatury nie będzie mógł zaprzeczyć, że wymienione przeze mnie utwory — przy wszystkich cechujących je wadach — odkrywają nowe dziedziny życia i stosunków ludzkich i są rzeczywiście utworami wielkiej literatury. Trzeba dostrzegać żywy proces literatury a nie zastępować go ogólnymi formułkami.

Literatura pozostaje w tyle za życiem. Tak, okaza się to prawdą, jeżeli do wszystkiego cośmy stworzyli przyłożyć pełną miarę wielkich dokonani narodu. Ale siłę literatury radzieckiej stanowi właśnie to, że zawsze miała ona, ma mieć będzie zarówno pisarzy należących do starszych pokoleń, jak pisarzy młodych, o wrażliwym odczuciu wszystkiego co nowe, odkrywających nowe strony życia i przygotowanych do rozstrzygnięcia wielkich zadań artystycznie — twórczych.

Przy tym liczba ich wciąż rośnie. Pisarze zbyt słabo poznają życie. Tak, jest to prawda, która się odnosi do wielu z nas. Ale jakże mogłyby powstać dziesiątki najlepszych książek, z których niejedna stanowi sławę i dumę literatury radzieckiej, gdyby ich autorzy nie znali życia, wciąż go nie zgłębiali.

„Naiwnie to wygląda, kiedy wielu naszych pisarzy usiłuje tłumaczyć i usprawiedliwiać swoje słabości „teorią bezkonfliktowości”. Niektórzy pisarze po prostu z lenistwa nie próbują włączyć się w nurt życia ludzi radzieckich, gdzie we wszystkich dziedzinach wra walka nowego ze starym. W wielu jednak wypadkach widoczne są te usiłowania z ich strony, tylko, że braki ich światopoglądu nie pozwalają im dojrzeć istotnej prawdy życia. Wówczas to pisarz nie potrafi rozstrzygnąć się w zdarzeniach, w stosunkach międzyludzkich, nie dość jasno dostrzega drogę rozwoju nowego i przodującego w życiu i dlatego boi się chłostać przeżytki starego porządku świata, własności prywatnej w świadomości ludzi, albo też — i to najczęściej — dostrzega to, ale nie panuje absolutnie nad formą, która by zdolna była wyrazić konflikt życia. Wówczas to wychodzi on na trybunę i mówi: „Przeszkodziła mi pisać o sławioną „teoria bezkonfliktowości”. (Oklaski) Czy rzeczywiście tak — i czy w ogóle istnieje taka „teoria”?

Jeżeli znaleźli się pisarze i krytycy, którzy usiłowali potwierdzić owe słabości wielu naszych pisarzy formułą „trudno, tak trzeba”, to to nie jest jeszcze „teoria”, do teorii także trzeba jeszcze dorosnąć.

Jeżeli „teoria” ta istniała, to przecież została ona dyskredytowana już trzy lata temu. Dlaczego jednak postępy zaznaczające się w naszej dramaturgii są jak dotychczas prawie niezauważane? Nie, widocznie sprawa polega nie na „teorii”. Czy moglibyście wyobrazić sobie Leonida Leonowa piszącego swe powieści i dramaty bez konfliktów? Jak mogłyby w ogóle powstać najwybitniejsze utwory radzieckiej prozy, poezji, dramaturgii, gdyby najlepší nasi pisarze, poeci, dramaturgowie nie rozumieli, że konflikt jest podstawą większości utworów w obrębie przeróżnych gatunków literackich i nie umieli by nadać mu formy przy pomocy środków wyrazu artystycznego? Nie, towarzysze, nie usprawiedliwiamy swych słabości żadną książkową „teorią”.

Jeżeli w naszych wydawnictwach i instytucjach kierujących sztuką i literaturą, nie wyłączając Związku Pisarzy, byli i z pewnością są jeszcze do dzisiaj ludzie, którzy ze względu na swe zacofanie oraz bezzwładny myślowy sprzyjał i sprzyjała tendencji do upiększania rzeczywistości, do przemilczania przeci-

wieństw i trudności rozwoju, to są oni takim samym przejawem walki nowego ze starym w literaturze, jak w innych dziedzinach życia. Pisarz, który nie umie własnym piórem walczyć ze starym w życiu, ugrunтовując jednocześnie i podnosząc do należytej rangi nowe, kapiuluje przed tymi samymi zjawiskami w literaturze i w sztuce. Ci zaś, którzy są kwiatem literatury, jej siłą, tym się właśnie odznaczają, że jako bojownicy wdzierają się w życie wszędzie tam, gdzie tylko się toczy walka nowego ze starym. Właśnie tacy pisarze dają utwory, które zyskują sympatię narodu.

Towarzysze! Najważniejszą stroną naszego pojmowania literatury wolnej jest świadome uznanie przez nas, zarówno partyjnych, jak bezpartyjnych pisarzy, kierowniczej roli Partii Komunistycznej we wszystkich dziedzinach życia a więc i w sprawach literatury.

„Partyjność radzieckiej literatury nie jest zjawiskiem wyjątkowym, właściwym tylko twórczości pisarzy będących członkami partii, i w ogóle pisarzy nielicznych. Jest to cecha historyczna naszej radzieckiej literatury. Mamy rzec jasną wrógów, ideowych przeciwników. Bywa również i tak, że wybitni pisarze radzieccy popełniają w swej twórczości błędy, odstępują od zasady partyjności. Ale kiedy mówimy o partyjności literatury radzieckiej, mamy na myśli ten historyczny fakt, że pisarze radzieccy, zarówno partyjni, jak i bezpartyjni, uznają słusność idei Partii Komunistycznej i bronią ich w swej twórczości i rzec jasną dlatego właśnie uznają kierowniczą rolę partii w sprawach literatury.

„Musimy mówić o postaciach pozytywnych i negatywnych w literaturze, bo w samym życiu siły nowego i starego świata nie są bezosobowe, tylko wciela się w żywych ludzi, my zaś, pisarze, nie tylko i po prostu wyczerpanie opisujemy ludzi, lecz poddajemy ich osądowi moralnemu.

Ma więc rację Erenburg, kiedy mówi: „Walka heroizmu, twórczych porywów, miłości do ludzi przeciwko egoizmowi, obojętności i bezwładowi odbywa się obecnie w świadomości i sercach wielu ludzi, i właśnie tam nowe toczy walkę z cieniami przeszłości, dobre ze złym”.

Powinniśmy rozumieć, że ludzie nie stoją w miejscu, lecz rosną, dorastają w procesie przekształcania ich przez nasze społeczeństwo. Spójrzcie na życie i rozumienie go z pozycji pisarza świadomego walczenia o komunizm podpowie mu poprzez sam materiał życia, jak i w jakiej formie objawia się nowe i stare w ludziach.

„W literaturze naszej trafiają się niekiedy zarówno producenci tandety, jak i kłamanami dwulicowcy, będący pleśnią na naszym społeczeństwie. Ale o ilej więcej jest w naszej literaturze ludzi mających po prostu mizerne doświadczenie w kunszcie pisarskim, ludzi, którzy nie zawsze potrafili znaleźć właściwe środki wyrazu dla swych — nie tylko szczerych, lecz zrodzonych z całego ich życia i z głębokiej miłości do narodu — myśli i uczuć. Mówić więc o nieszczerości pisarzy radzieckich, którzy z całym narodem walczyli o zwycięstwo ustroju socjalistycznego w naszym kraju, którzy z narodem i partią przeszli przez najtrudniejsze etapy budownictwa nowego, sprawiedliwego ustroju, którzy przelewali swą krew na polach bitewnych, broniąc socjalistycznej Ojczyzny przed napastą jej wrogów, pisarzy dla których wszystko cośmy stworzyli w kraju, jest żywą pamięcią trudu ich ojców, matkę, braci, siostr a nawet dzieci — mówić więc o naszej nieszczerości z wami, którzyście oddali całe swe życie sprawie walki o komunizm, mogłoby tylko rozzuchwalać mieszcuch. (Oklaski)

„Niektórzy towarzysze, co prawda nie jest ich znów tak wielu, zapominają, że walka ideologiczna w literaturze trwa nadal i że istnieją siły działające przeciw nam. Nie można więc w rozpatrywaniu przyczyn hamujących szybszy i pełniejszy rozwój naszej literatury, omijać problemu walki naszej ideologii i humanizmu przeciw imperialistycznej ideologii nienawiści do człowieka, bo walka ta odbywa się w wymiarze całej naszej planety, we wszystkich krajach i na wszystkich kontynentach, a wrogię wystąpienia przeciwko nam we własnym naszym kraju są tylko odgłosami tej walki, która ma światową doniosłość.

Każdy ucześciwy pisarz radziecki, oddany ustrojowi radzieckiemu a występujący z krytyką naszych własnych braków i nieporządków, winien, moim zdaniem — i to nie tylko z miłości do naszej wspólnej sprawy, lecz po prostu przez szacunek dla samego siebie — określić wobec pisarzy i wobec całego narodu swój stosunek do przeciwników ideowych radzieckiej literatury, do sił wrogich przeciw niej skierowanych — szczególnie wówczas, kiedy jako pisarz radziecki zabiera głos z tak wysokiej trybuny, jaką jest trybuna Wszechzwiązkowego Zjazdu Pisarzy...

Aleksander Fadiejew

Dalsze wypowiedzi u ankiecie „Pisarze wobec dziesięciolecia” — w następnych numerach.

TADEUSZ HOŁUJ

S O L



Rys. Marla Hiszpańska-Neumann

I
Odzwierny długo szukał klucza, zanim wypuścił na blok obcego człowieka. Jego umyślnie przewlekłe zabiegi, mające na celu tak prostą czynność, jaką jest otwieranie drzwi, pozwalały nam, kancelistom czyli schreiberom szpitalnego biura w obozie oświecimskim, na przygotowanie się do każdej niespodziewanej wizyty. Obóz spał już, zatulony w gęstą mgłę, powstającą nad Solą i mioną letnim wiatrem na czerwone miasteczko śmierci. Człowiek, którego odzwierzy wpuścił nocą na nasz blok, nosił dość porządną marynarkę, granatową, przepisowo przekreśloną czerwonym krzyżem na plecach, pośrodku którego widniała również przepisowa łata z szaro-niebieskiego pasiaka. Spodnie nosił białe, z czerwonym galonem wymalowanym farbą; coś w rodzaju czapki zakrywało jego krótką fryzurę. Owa fryzura właśnie i pusty, bez litery narodowości trójkąt czerwony na piersi oznaczały Niemca. Zauważyłem, że kulał. Niemiec rozglądał się po biurze, zwanym schreibstuba, spozierał małymi oczkami na sennych „pisarzy” klepiących na maszynie wykazy zmarłych, na lysego kapę dłubiącego spokojnie w olbrzymim nosie, wreszcie — obejrawszy sobie całą nocną zmianę — spojrzał na mój numer i kiwnął na mnie palcem. Wysilił się na podwórkę pomiędzy blokami szpitalnymi i wówczas nieznamy powiedział osobiście jakąś niemiecką, mało zrozumiałym dialektem:

— Jestem z Birkenau. Adam przysłał i kazał ci to dać. Mam u was pracować. Przyszędłem wieczór z Birkenau.

Niemiec wyciągnął zza marynarki rulon papieru i podał mi go, bacznie rozglądając się po podwórkach. Tak, ludzie z naszej grupy birkenau'owskiej zapowiadali, że nam przysłał jakiegoś sanitariusza z transportu buchenwaldzkiego. Więc to on. Miał na imię Herman, wyglądał na 60 lat i przy pierwszym spotkaniu robił wrażenie gbur. Twarz Hermana była ziemistej barwy, policzki na drobniutkie poletka dzieciętkami blizn, pokiereszowane policzki zwisały mu jak puste torby po obu stronach bladych ust. Kiedy mówił, zza sinych warg ukazywały się olbrzymie, żółte zęby, rzadko tkwiące w dziąsłach. Umówiliśmy się na wieczór i rozstali. Wró-

ciłem do biura, mrugnąłem na kapę porozumiewawczą i rozłożywszy papiery w szufladzie stolika jałem czytać. Papiery, przysłane przez naszych z Birkenau, były listami tamtejszej schreibstuby szpitala kobiecego i nosiły w nagłówku dobrze znane literki: SB. Sonderbehandlung — tak oto się nazywało mordowanie więźniów i więźniarek w komorach gazowych. Nawykliśmy już i do tego szyfru, i do owych wykazów. Wiedzieliśmy, że zazwyczaj są one już gotowe przed ko-

lejnym morderstwem, że ludzie, umieszczeni na nich jako zmarli, żyją jeszcze, a czasem nawet nie przypuszczają, że wypisano już wszystkie potrzebne papiery od zaświadczenia zgonu aż po meldunek o przebiegu rzekomej choroby.

Miałem przed sobą kopię oryginalnej listy kobiet z Grecji, przeznaczonych na zagazowanie. No cóż, nie jedną taką listę zdobyliśmy i wysłaliśmy za obóz, ta jednak mocno ułapiła serce. Czytałem nazwiska, imiona, daty urodzenia i nume-

ry obozowe tych dziewcząt i kobiet, żyjących jeszcze, śpiących teraz na barlogach szpitalnych i śniących być może o dalekiej, pogodnej Grecji. Żydzi greccy mówią pięknym językiem, który przynieśli ze sobą na Lewant z Hiszpanii. Czytałem imiona... coś za nazwy: Allegra, Luna, Donna, Gracia, Stella, Flor, Ora, Paloma... Słońce i Księżyc, Gołębicą i Gwiazdą, Wesolą i Łaską. Czytałem to jak jakąś wymaginowaną, poetyczną litanię i gdyby nie numery obozowe oraz dokładne daty urodzenia, myślałbym, że to żart jakiś tragiczny. Za kilka godzin owe Gołębicę i Kwiaty, Słońca i Dobrze poczlapią prerażliwie długą aleją obozową do krematoriów, wyglądających z dala jak wielkie piekarnie, i stłoczone na betonowej posadzce, nagie i lyse, zachlępną się cyjanowodorem. HCN — przypominałem sobie wzór „Cyklonu B”.

Wzdrygnęłem się. Ujrzałem setki ciał pod fałszywymi niby-tuszami... Gołębicę, Księżyc, Kwiaty... — Co nowego? — zapytał szepciem kapo.

— Greczynki z rewiru. Na gaz. Duża, lysa głowa więźnia zadrażała, potem opuściła się na piersi. Tak, wobec tej śmierci byliśmy bezradni.

II

Sanitariusz Herman sprowadził się na nasz blok następnego dnia i objął jedną z najgorszych sal, na I piętrze. Salę „żydowską”. Prosił o nią specjalnie. Ochryplym głosem zarekomendował się chorym, potem ten jego głos huczał między trzypiętrowymi pryzmami już prawie bez przerwy. Któregoś dnia zauważyłem, że kulawy Herman siedzi przy oknie, zupełnie nieruchomo, zapatrzony gdzieś przed siebie, z rękoma na małym pakietku. Między grubymi paluchami sanitariusza dostrzegłem piękną, niebieską tasienkę, którą przewiązany był pakietek. Było południe. Porządkowi zmywali zabrudzoną papierowymi opatrunkami, krwią i ropą podłogę; letnie słońce i cisza, jaka zazwyczaj panowała po porannych opatrunkach, kłóciły się z wychudzonymi postaciami chorych więźniów, którzy snuli się od łóżka do łóżka w brudnych, popstrzonych przez insekty koszulach, kłóciły się z odorem gnijących ciał, z niebem przeciętym pasmem drutów kolczastych.

Herman patrzył na przeciwny blok 10 — siedzibę „eksperymentalnej” placówki lekarzy SS i kilkuset więźniarek przysłanych z Birkenau w charakterze doświadczalnych królików. Wiedzieliśmy, że hitlerowscy lekarze przeprowadzają tam masowe badania nad płodnością, że przygotowują akcję zagłady biologicznej całych społeczeństw, narodów, „ras” przez masowe sterylizowanie. Starczą twarz Hermana opływał dziecięcy uśmiech. Poszedłem za jego wzrokiem. W oknie 10 bloku ujrzałem kilka więźniarek dających mu jakieś znaki. Herman ani drgnął. Więźniarki odeszły czyniąc miejsce młodej dziewczynie o jasnych włosach, widocznych spod chustki. Stała spokojnie, błada jak płótno, i wielkimi, czarnymi oczyma przyglądała się spojrzeniu Hermana. Dźwignął się z zydlu, uniósł w górę paczuszkę obwiązaną niebieską tasienką i pokazał palcem, że zjeździe na dół. Dziewczyna skinęła głową na znak, że rozumiała i cofnęła się od okna. Herman wówczas odwrócił się

1... ujrzał mnie. Nakrył wielką łapą paczuszkę, zaśmiał się, ale śmiech jego nie brzmiał szczerze.

— Romansuję, co? — powiedział wskazując blok 10. — Znam tam jedną... z Birkenau jeszcze. Znam hiszpański, tośmy sobie pisali. Aa, takie tam głupstwa. To Greczynka. Kulejąc jakoś więcej niż zwykle, wyszedł z sali. Obserwowałem blok 10 z tego samego okna, z którego przed chwilą patrzył Herman. Zobaczyłem go, jak przechodził obozową uliczkę, wchodził na schodki bloku, jak stanął w drzwiach. — Po chwili w sieni ukazała się jasnowłosa Greczynka, podeszła do drzwi i nie przestępując progu zaczęła coś mówić do Hermana. Cała scena nie trwała dłużej niż dwie minuty. Herman wręczył jej paczuszkę, machnął ręką jakby opędał się przed podziękowaniami i szybko pokuśtykał z powrotem na nasz blok.

Po apelu zagadnąłem Hermana o dziewczynę. Nazywała się Sol czyli Słońce. Nic więcej nie chciał o niej powiedzieć. O nim samym też niewiele wiedziałem. Był prostym robotnikiem z granicy bawarskiej, a właściwie — bezrobotnym. Do partii komunistycznej należał od młodości, miał teraz czterdzieści lat. Bił się w Hiszpanii jako prosty żołnierz Brygady Międzynarodowej i tam postrzelono mu nogę. Ślady na twarzy pochodziły, jak mówił, z czasów, gdy jeszcze miał pracę. Kocioł rozsądziło. Herman w dysputach politycznych nie brał udziału, nawet o organizacji partyjnej w Buchenwaldzie, silnej i odgrywającej w tamtym obozie poważną rolę, wiedział niewiele więcej niż my sami, ale pracował u nas z całym zapalem zarówno jako sanitariusz, jak i członek naszej organizacji.

— Sol Allaluf — powiedział na zakończenie naszej rozmowy upajając się dźwiękiem tego imienia i nazwiska. — Und sie meint, ich sel ein Pole. Komisch.

Po kilku dniach przylapałem go na... kradzieży. Grzebał właśnie w mojej szafce, gdy wszedłem do izby. Byłem bardziej chyba speszyony niż on. Wyprostował się i wówczas ujrzałem w jego ręce czerwony sznureczek, którym miałem przewiązany pakiet starych kart chorobowych. Zrozumiałem od razu, do czego mu potrzebna barwnego sznurka: do pakietków oczywiście. Jakże wręczał co dzień swemu Słońcu, dziewczynie imieniem Sol.

W przeciwieństwie do innych Niemców, bądź co bądź uprzywilejowanych w obozie z racji swego reichsdeutschostwa, i zajmujących lepsze niż inni stanowiska, Herman miał podła pracę i żadnych „stosunków”. Żył obozową zupą i chlebem, czasem dostawał dodatkową porcję, gdy od chwili wysłania stanu, wedle którego pobierano porcję, do chwili wydawania ich na blok zmarło kilku chorych, czasem dostawał od kogoś cebulę, kawałek bułki czy trochę cukru z paczek. Oczywiście dzielił się z nim swymi zasobami paczkowymi, ale były to porcje raczej symboliczne. Herman wszystko co lepsze chował skrzętnie do szafki, swój chleb dzielił na pół, tak samo postępował z margaryną. Wskrobywał po wydaniu porcji miśki z marmolady i zbierał to buraczane powidło do stoika, a potem gotował paczuszkę i wynosił dla Sol. Stanowczo nie mogłem pogodzić tej sentymentalnej historii z charakterem Hermana, z jego grubiańskim obejściem i twardą ręką. Kiedyś ledwo go oderwałem od jakiegoś nieszcześliwca, którego bił ze straszliwą pasją. Był to, jak się okazało, profesor prawa uniwersytetu greckiego, przylapany na kradzieży chleba dla chorych. Innym razem obserwowałem go przy opatrunkach. Pomagał doktorowi bandażować ohydnie ropiejące piersze i ani się skrzywił. Odór był tak silny, że nawet my, stali mieszkańcy bloku, przebywający całymi dniami w sali „brudnej chirurgii”, zatykaliśmy nosy. Na dworze przecież było pięknie, upalne lato, z łask nadzreczych była świeża woń swobodnej przestrzeni.

Mijały ciężkie dni obozowe 1944 roku. Pewnego dnia Herman powrócił z bloku 10 zupełnie zmieniony. Nie wydawał porcji, nie krzyżał między pryzmami, nie krzątał się jak zwykle po sali. Usiadł w kącie na zydlu i objął swoją głowę wielkimi dłońmi zatopił się w myślach. Kiedy zapytałem, co mu się stało, dźwignął nagle głowę i spojrzał na mnie zaintrygowanym oczyma.

— Sol i dwanaście innych idzie jutro na operację. Do nas na blok. To koniec. Ja wiem, jak to jest. Pokraja, potem kilka tygodni zdychania i gaz. To koniec. A ona ma szesnaście lat.

Przygryknęliśmy tu do śmierci od dawna. Wszyscy. Przecistawialiśmy się jej z wszelkich sił. Ale cóż mogliśmy zrobić w wypadku bloku 10?

Przygrybnęliśmy zeszędłem do chirurga-więźnia, który przeprowadzał na naszym bloku operacje z rozkazem SS. Omawialiśmy już nieraz w organizacji ten wypadek i teoretycznie byliśmy przekonani, że lekarz ów winien odmówić wykonania rozkazu. Prawdopodobnie do stałby za to karę śmierci. Ba, gdyby tak wszyscy jego ewentualni następcy postąpili, esesmani rozstrzelaliby kilku czy kilkunastu, to fakt, ale może nie używaliby więcej rąk

więźniarskich do wykonywania zbrodniczych zabiegów. W tym rzecz jednak, że byliśmy praktycznie przekonani, iż znajdują się tacy, co rozkazowi ulegną. Pamiętaliśmy również, jak to SS powierzała funkcje lekarskie więźniom nie mającym żadnego pojęcia o medycynie.

— Jutro masz operację z 10 bloku — zagadnął chirurga. — Nie da się tego uniknąć?

Chirurg spojrzał na mnie jak na wariata. Jego czerwona, tęga twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie. Kobiety z dziesiątki były od tygodni obiektem doświadczeń lekarzy SS, przez nich wybrane do zabiegu, łatwo rozpoznawalne dzięki wytatuowanemu numerom... Nie, nie było rady. Zdaliśmy tyle załatwić, że po operacji postaramy się wykraść całą grupę śmierci, wyrwać ją z rąk lekarzy SS, z bloku 10, przenieść na lepsze komando, albo wysłać w bezpieczniejsze miejsce.

III

Rano przygotowała salę operacyjną, blockführer zamknął blok przed obcymi, zeszli się lekarze SS. Wnieśliśmy na noszach kilka kobiet i umieszczono w opróżnionej, sąsiadującej z salą operacyjną salce, potem wprowadzono te, które mogły chodzić. Staliśmy z Hermanem u wejścia na blok. Niemiec trzymał na piersi złożone jak do modlitwy dłonie o tak mocno zacienionych palcach, że były czerwone, sine prawie. Wprowadzono Sol. Po raz pierwszy spojrzałem na nią z bliska. Szało wolno, wspierając się na ramieniu tłustej szubowki, słowackiej Żydówki. Krótkie, jasnozłote włosy, takiej barwy, jaką miewa dojrzła pszenica, okalały idealny wprost ował jej bladej twarzy, śniadej niegdw, w której świeciły wielkie, szeroko rozstawione oczy. Były czarne, ale gdy spojrzała na Hermana, ujrzałem w tych czarnych oczach, żółte światła. Herman nagle rozwarł dłonie i jedną z nich podał dziewczynie czerwony kwiat. Sol przystanęła na oka mgnięcia, koc okrywający ją zsunął się z ramion odstawiając ich spadziastą, białą linie.

— Buenas dias — wyjął Herman.

— Dzień dobry — powiedziała śmiesznie Sol i wpiąwszy czerwony kwiatek we włosy poczłapała dalej. Olbrzymie, drewniane pantyny głośno stuknęły po kamiennej posadzce. Herman stał chwilę zatrzymując na twarzy ten sam uśmiech, jakim witał Sol. Nagle opuścił mnie i pognął ku sali operacyjnej. Poszedłem za nim, ale było już za późno. Herman stał przed lekarzem SS, ubranym w biały kitel, i kończył:

— ...nie mordujcie tych dziewcząt! To hańba dla Niemców, Herr Obersturmführer!

Obersturmführer mrugał szybko powiekami, spozierał to na starczą twarz Hermana, to na białe kitel asysty, wreszcie uśmiechnął się grzecznie i przecierając załzawione oczka krótkowidza odczytał na głos numer obozowy Hermana.

W pół godziny potem Hermana zą prowadzono na blok 11, do bunkra, a na drugi dzień powędrował do karnej kompanii, do Birkenau. Zdaliśmy się z nim jeszcze porozumieć na bloku 11. Prosił, aby zaopiekować się Sol i wysłankami operowanymi dziewczętami.

IV

Pracowałem wówczas już na stacji dentystycznej, która komunikowała się służbowo z blokiem eksperymentalnym, gdzie znajdował się warsztat protez, dzięki czemu mogłem się porozumiewać z Sol. Leżała w dużej, ponurej izbie na parterze, dziewczęta z bloku pilnowały nas przed esesmanką i jakoś zawsze dwie-trzy minuty mogłem z nią spędzić. Rozmawialiśmy, o ile rozmowa można nazwać kilka zdań, po hiszpańsku. Zrazu mówiłem, że Herman jest chory i przeze mnie przesyła paczuszkę. Zdaje się, że wierzyła. Paczuszkę były przecież podobnie opakowywane, przewiązane kolorowymi tasienkami... może i wierzyła. Rzuciliśmy na ten blok trochę lekarstw przysłanych z obozu i z wyznaczeniem, czekaliśmy na wyjazd „eksperymentatora”, aby przeprowadzić przeniesienie operowanych kobiet. Tymczasem codziennie wędrowałem na blok 10 z małą paczuszką, zamieniałem kilka słów z Sol przywołując na pomoc cały, skromny niestety, zapas słówek hiszpańskich, jakie znałem. Przyznam się, że poznawałem ich coraz więcej. Uczylem się. Któregoś dnia powiedziałem nieopatrznie, że Herman jest Niemcem. Sol pogroziła mi palcem. Nie wierzyła.

— Niemiec? On, Niemiec? To nieprawda. Dlaczego kłamiesz. Powiem Hermanowi, że mnie okłamujesz. Przecież to Polak — mówiła cichym, dzwicznym głosem. — Niemcy są źli, bardzo źli przecież. Ja mu mówiłam, że po tym zostalabym u was, w Polsce. Nie mam po co wracać, nikt z moich nie żyje, wiesz? Nikt.

Nie przeczyłem. Lekarka z bloku 10 powiedziała mi, że stan Sol jest beznadziejny. Umarła tego samego dnia, kiedy Herman wrócił z SK.

Tadeusz Hołuj

TADEUSZ RÓŻEWICZ

CHWILA

Topole jak winogrona
Na starym srebrze
Pochmurno nieba

Może tu zostanę
naprawdę
co mi potrzeba

tutaj jest dziewczyna
która przeszła
i ruchem najpiękniejszym
w tej chwili
na ziemi i niebie
włosy odgarnęła
spłynęły ze światłem
na strone ramiona

Góry dymią
w popiele nieba

Zostanę tutaj
naprawdę
nic mi nie trzeba

Cienie na ścianach
głuchych kamieniczkę
i jasny cień
na balkonie

Znów bije serce
co umarło
w obcej
jak gwiazda Weronie

OJCIEC

Idzie przez moje serce
Stary ojciec
Nie oszczędzał w życiu
nie składał
ziarenka do ziarenka
nie kupił sobie domku
ani złotego zegarka
jakoś nie zebrała się miarka

Żył jak ptak
śpiewając
z dnia na dzień
ale
powiedzie czy może
tak żyć niższy urzędnik
przez wiele lat

Idzie przez moje serce
ojciec
w starym kapeluszu
i pogwizduje
wesolą piosenkę
I świecie wierzby
że pójdzie do nieba.

1954

KRYSTYNA BERWIŃSKA

Kaukaskie Kredowe Koło

HOWARD FAST

Trzeci list literacki z Nowego Jorku

I leż radości, ileż wzruszeń może dać prawdziwy teatr!

Na „Kaukaskim Kredowym Kole” ludzie plażą i śmieją się. Cel Brechta zostaje osiągnięty: ludowy moralitet, wywołuje w widzach proste, gwałtowne uczucia: współczucie, miłość, gniew, pogardę, nienawiść... Widz solidaryzuje się wyraźnie z tymi, którzy mają swoje ludzkie racje i odwraca się od tych, którzy są ludzkością pozbawieni. Nie ma dwuznaczności, psychologizacyjnych zawileści, wszystko jest jasne, pozornie uproszczone — właśnie jak w moralitecie czy ludowej baśni. Wszystko służy wywołaniu w widzu dobrych uczuć, takimi ugruntuowanymi, aby się stały bronią w walce jaką toczy świat postępu. Oto wspaniały, wielki cel teatru. Ale ten cel tylko dlatego jest wielki, że skład zasad moralnych teatru Brechta wcale nie przypomina moralności ze szkolnych cytanek. Przy całej prostocie i szorstkości jest to moralność trudna, złożona, rewolucyjna. Gdy widz jest już poruszony emocjonalnie, Brecht zmusza go do myślenia, każe mu samodzielnie szukać prawdy. To nie kaprys artysty, to głęboka intelektualna celowość każe mu odwrócić sytuację ze starej chińskiej legendy o kredowym kole (tam przynajmniej prawo do dziecka rodzonyj matce, decyduje natura, głos krwi, racja biologiczna, tu całym sercem jesteśmy z Gruszą, matką przybraną, która z narażeniem życia ocaliła i wychowała dziecko — decyduje racja humanistyczna). To odwrócenie naturalnej sytuacji pozwala Brechtowi jak w kaleidoskopie ukazać wiele postaw moralnych wobec tego niecodziennego zjawiska. Nie darmo także Azdak, sędzia, „prawie że” sprawiedliwy, zanałdó lubi wino, baby i nie gardzi łapówkami.

Powojenna prapremiera Brechta na naszych scenach to wydarzenie teatralne dużej miary. Przyjemnie, że można tego sukcesu pogratulować kierownictwu teatru im. Słowackiego, które dostawało ostatnio cieżką za zbyt „szary” repertuar. „Fantazy”, „Kaukaskie Kredowe Koło” w najbliższych planach „Kordian”, „Peer Gynt” — obok współczesnej sztuki polskiej i angielskiej, to repertuar bardzo interesujący.

Można mieć nadzieję, że wprowadzenie Brechta na nasze sceny ożywi zagadnienia inscenizacji i przede wszystkim stanie się bodźcem dla naszej rodzimej dramaturgii karmionej dotychczas do znudzenia pseudo-realizmem pseudokrytycznym. Brecht jest dramaturgem, który świadomie odżegnuje się od sztuki mieszczańskiej i nawiązuje do tradycji teatru ludowego, jarmarcznego, sekijskiego. Nawiązuje w sposób swoisty, sobie tylko właściwy, i nie chodzi o to aby naśladować jego osiągnięcia. Warto natomiast naśladować jego poszukiwania własnej formy w oparciu o tradycje teatru ludowego i narodowego, choćby dlatego, że zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że realizm krytyczny nie zrodził automatycznie realizmu socjalistycznego, jeśli tym terminem określimy sztukę, która ma wyrażać prawdę o człowieku, prawdę naszych czasów — z myślą o lepszym jutrze ludzkości.

Wspaniała cecha teatru Brechta jest to, że idea — prosta i czytelna nawet dla najmniej wyrobionego widza — wyraża się w formach teatralnych niezbitnie artystycznych. Że jest to teatr, który używa całego bogactwa środków sztuki teatralnej, aby tę ideę uplastyczyć, ubarwić, uczynić atrakcyjną, porywającą dla widza. W tym teatrze wszystko służy idei: poetycki tekst Brechta w ustach aktorów, wymowa obrazu (człowiek, dekoracja, rekwizyt, światło), wreszcie — muzyka.

Z prawdziwą satysfakcją można stwierdzić, że przedstawienie krakowskie jest bardzo „brechtowskie” a jednocześnie jest w nim coś specyficznego naszego, polskiego, i że różni się bardzo od berlińskiego. Ten kolorystyczny dźwięk nie tylko takie np. użycie wręcz krakowskiego elementu folkloru jak lalki (pancerni na koniach), co dało uroczysty efekt, ale sprawy głębsze: użycie ról Gruszy i Azdaka, wreszcie różnice samych środków inscenizacji. Inszenizacja berlińska charakteryzuje się między innymi: użycie obrotów; zmiennej malowanych ekranów; znaczących miejsc akcji i kurtynki na drucie; wprowadzenie masek dla postaci; wyzyskiwanie potrafienia całego widowiska jako przedstawienia amatorskiego, które jeden kolchoz dla drugiego odgrywa.

Krakowska inscenizacja poszła inną drogą. Na horyzoncie widzimy ogromne wrota jakiejś górskiej szopy o ramie z grubych bierwion. Ku proscenium opadają dwa czy trzy stopnie. Na takim to rozpoczyna się prolog. Gdy Pieśniarz rozpoczyna swoją opowieść, siada na proscenium z lewej pod kolorową, wschodnią lampą (podobnie i w Berlinie) a dwu z towarzyszącym mu śpiewaków otwiera wrota szopy, tworzącą teraz aż do końca akcji tryptyk, w którym wymienia się tylko tło (np. arkady pałacu, góry, roślinność nad rzeczką) oraz przystawki na ścianach bocznych (np. drzewo, ganek, fragment wnętrza chaty etc.). Gdy akcja się kończy, korowód taneczny z proscenium przechodzi w głąb, śpiewacy wolno zamykają wrota szopy, a na scenie zostaje sam Pieśniarz i mówi ostatnie słowa do widzów.

Brecht za pomocą maski deformuje twarze przedstawicieli świata feudalnego; Babel i Stopka robią to

przy pomocy ostrej malarskiej charakterystyki.

Odrzucając tak bardzo z dramaturgią Brechta związaną obrotówkę, Babel utrudnia sobie wprowadzić zadanie przez konieczność wprowadzania i wyprowadzania aktorów każdej sceny, podczas gdy obrotówka daje możliwość pokazania sytuacji i przetrwania jej w każdym momencie; reżyseria nie osiągnęła też takiej dynamiki licznych wędrowek i marszów (ulubiony motyw Brechta), jaką można osiągnąć na obrotówce, ale za to zyskała jednolitość terenu akcji i znakomitą ramę kompozycyjną jaką dają rozwarte wrota. Niektóre sceny nabrały w tej ramie pięknych walorów malarskich i ogromnej siły wyrazu. Przy tej bardzo ludowej fakturze utworu wyeliminowanie obrotówki, maszyn z jej skrzypiącym mechanizmem, wydaje się bardzo szczęśliwe.

Reżyseria ostro przecistawia lud i wyzyskiwaczy przez odmienną charakterystykę, kostium, gest. W komponowaniu kostiumów pozwolił sobie Stopka na ogromną swobodę. Czy upoważnia do tego także nie-

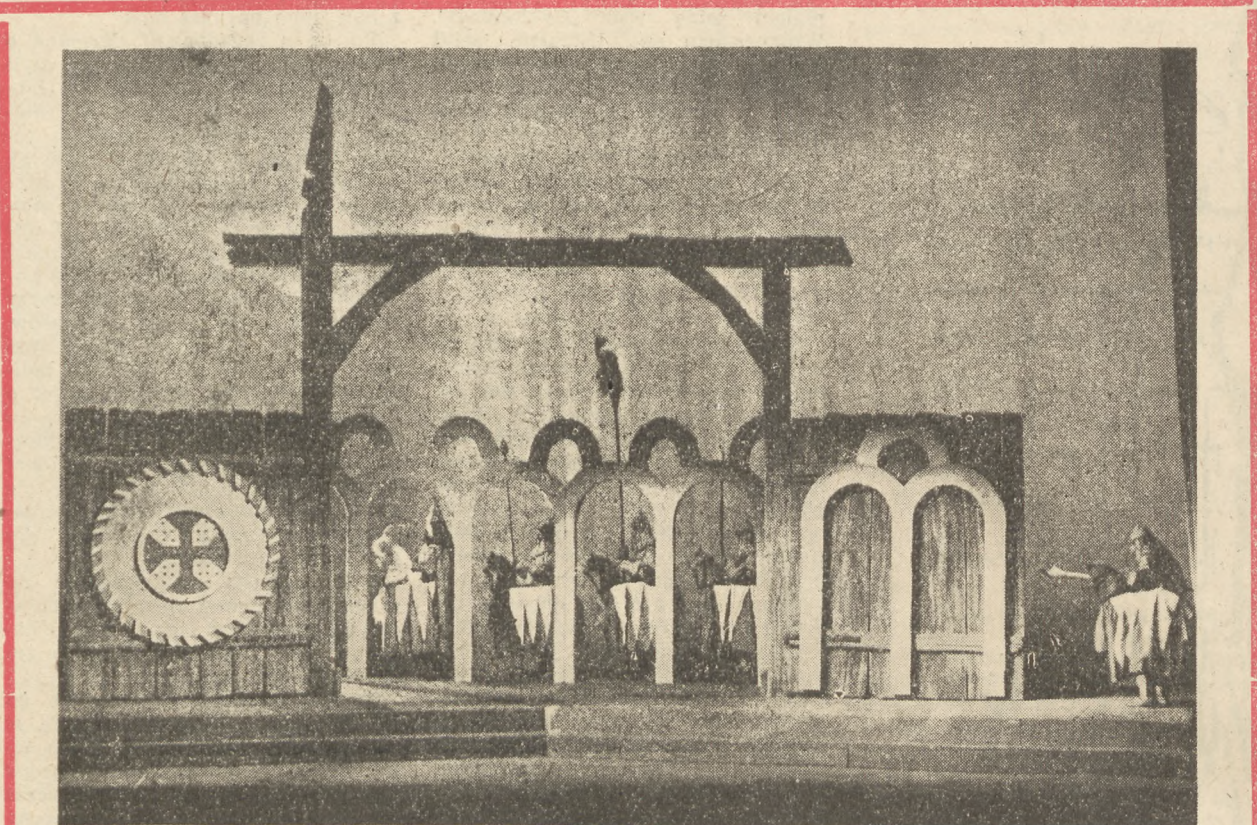
stać własną, ciekawą indywidualnością aktorską. Stworzył postać soczystą, barwną, pełnokrwistą, prawdziwie ludową. Pod łachmanami ulicznego wagabundy bije ludzkie serce. Pod rozkładanym łbem kłębi się śmiejące myśli. W scenie gdy ma umierać, zachowuje się jak prawdziwy bohater; pluje w twarz swoim prześladowcom: „jak się macie psie syny?” — mówi oclerając krew — „a jak tam wasz psi osiwiątek? Cuchnie co? A macie już nowe buty do lizania? Zagryzacie się znowu na śmierć?”

Wystarczy spojrzeć na zdjęcie Buscha w tej roli, na jego sokratesowski łysy łeb i chytre oczy błyskające w zmiejcie, brzydkiej twarzy, aby się domyślić, że i ta rola ujęta była inaczej w spektaklu berlińskim.

Busch w spektaklu berlińskim gra nie tylko Azdaka, gra także Pieśniarza. Pieśniarz jest i narratorem i komentatorem, głosem autora i głosem we-

wnymi spór o pewną dolinę. Kolchoz „Galińsk” ma wspaniałe plany nawodnienia i założenia sadów, które bez spornej doliny nie opłacają się. Kolchoz imienia Rózy Luksemburg (do którego dolina należała przed wojną) broni się argumentem używanym do ziemi rodzinnej. Ustępkuje przekonany, że większy pożytek przyniesie krajowi nawodnienie doliny niż zachowanie jej jako pastwiska. A więc nie tylko serce decyduje, bo serce jest na pewno także po stronie dawnych mieszkańców doliny — ale użyteczność społeczna.

Obawiam się, że po wysłuchaniu Pieśniarza kolchoz im. Rózy Luksemburg nie utwierdził by się w swojej decyzji, przeciwnie, narzucająca się analogia między tym kolchozem a złą gubernatorową przejęłą ich słusznym oburzeniem. Także dramatycznie prolog pozostawia wiele do życzenia. Konflikt zarysowany



Dekoracja Stopki do sztuki Brechta

określoną historyczną akcją utworu? Stopka stworzył fantazję kostiumową z orientalnych elementów, przy czym elementy narodowe gruzińskie odgrywały w tej fantazji niewielką rolę.

Berlińska Grusza w wykonaniu Angeliki Hurwicz, niezapomnianej niemieckiej Katrin z „Mutter Courage” — to duża, silna, tępa dziewczyna, w której nagle obudzone instynkty macierzyńskie przerasta jej ludzka świadomość, której miłość do Simona jest bezzadrosna, ponura.

Grusza Anny Lutosławskiej to waga dziewczyna, kručie stworzenie, które znajduje ogromną siłę wewnętrzną, siłę moralną, pozwalającą jej udźwignąć ciężar decyzji ratowania dziecka, ciężar dziecka na wstępnym plecach, przewróczonego strachem śmierci na chybotliwej kładce nad przepaścią, ciężar bytowania w niegodziwej chacie brata, ciężar koszmarnego małżeństwa z konającym, ciężar wyrzeczenia się szczęścia miłości do Simona. Jej miłość do Simona jest mimo tragicznych powikłań niemal dziecinna, pełna świeżości i uroku. Lutosławska wyświebla ogromne ludzkie piękno z roli Gruszy. Dużym osiągnięciem młodej aktorki jest umiejętność pokazania rozwoju postaci: z każdą sceną widzimy Gruszę dojrzalszą, głębszą, piękniejszą, odważniejszą. Takie ujęcie roli dobrze służy głównej idei sztuki: nie ma chyba widza na sali, któryby nie był całkowicie po jej stronie. Lutosławska ma ogromnie dużo wyrazu, umiejętność skupionej, pełnej życia na scenie. Piękne są sceny które rozgrywa mimicznie na lewopowiesi Pieśniarza; niezapomniane przejścia od lęku i rozpacz do triumfującej radości w scenie po przejęciu kładki nad przepaścią, gdy śpiewa piosenkę triumfu. Ilek jest w tej scenie wspaniałego optymizmu! Oto widzimy, że zwyciężył człowiek. W scenie gdy Azdak przyznaje jej dziecko, początkowo nierzuchomieje ze zdumienia, jest zaskoczona aż do ogłupienia, potem chwytając dziecko w ramiona. Wszystko co mówi później jest jeszcze jakby w pół śnie; a kiedy wreszcie woła: „No, chodź Miszka, zatańczymy!” — tyle jest w niej bezgranicznego szczęścia, triumfu, miłości do dziecka, do Simona, do świata, że słowa te wywołują na widowni łzy, najpiękniejsze łzy radości.

Sędzia Azdak do postaci frapującej. Jest w niej falstaffowski humor, i szelmstwo ulicznika, i zdrowy rozsadek człowieka z ludu, i cynizm kogoś kto tyle widział, że się już niczemu nie dziwi, i szorstka dobroć, i bezczelność granicząca z odwagą, i wspaniała inteligencja, i wiele innych cech, czasem sprzecznych, ale właśnie tworzących to niepowtarzalne zjawisko zwane: Azdak, sędzią ludzi prostych. Łobuz wspaniały, ogromnie sympatyczny, pijak, babiarz, łapownik, ale zawsze stojący po stronie skrzywdzonych i poniżonych. Taki właśnie jest Azdak Henryka Baka. Baka przyjął wszystkie inspiracje Brechta, niczego w Azdaku nie wybielił, ale nasycił go po-

wnętrznymi postaciami, rolą trudną i złożoną, wymagającą pięknych warunków głosowych, o ogromnej skali i umiejętności modulacji. Rola wymagająca wielkiej muzykalności nie tylko w opowiadaniu frazy, ale także umiejętności trafienia we właściwy ton, nastrój sceny do której nawiązuje. Rola wymagająca warunków zewnętrznych ludowego barda, natchnionego poety — improwizatora. Jakiegoś Dżambuta Gruzji, Marian Słojkowski został niewiastami obsadzony w tej roli i nie można mieć pretensji, że mimo widocznej, rzetelnej pracy i gorącego stosunku do roli, nie pokazał nam Pieśniarza, ale poprawnego recytatora.

Nie można sobie wyobrazić brechtowskiego „Kaukaskiego Kredowego Koła” — bez muzyki. Wiemy, że Brecht wiele lat nie wystawiał tej sztuki właśnie dlatego, że nie miał do niej muzyki. Muzyka Dessau zrosła się organicznie z dramatem Brechta. Prosta i porywająca w piosenkach, nagle trudna, atonalna w pieśniach muzykantów, ciekawie zinstrumentowana, z niepokojącymi akcentami perkusji — nie ilustruje, lecz działa emocjonalnie.

Muzyka Dessau z pewną konieczną adaptacją instrumentalną została dobrze nagrana. Jako novum w naszym teatralnym życiu warto zanotować fakt, że po raz pierwszy odważono się wprowadzić muzykę mechaniczną, która akompaniuje nie tylko recytacjom aktora, ale także śpiewom i tańcom. Eksperyment się udał.

Jeszcze jednym walorem widowiska jest przykład Włodzimierza Lewika, który znakomicie oddaje szorstkość oryginału. Surowy, wyprany z „poetyckości” i sentymentalizmu, osiąga w niektórych scenach walory prawdziwej poezji. Odważny, nie lekający się brutalizmem, tam gdzie charakterystyka jednego człowieka, indywidualizuje język poszczególnych postaci i, co najważniejsze, doskonale brzmi po polsku.

O czym warto podyskutować z reżyserem widowiska, Ireną Babel? A więc — prolog. Prolog w zamierzeniu Brechta ma się stać pomostem między dawnymi a nowymi laty. Między rzeczywistością jakiejś nieokreślonej historycznie, feudalno-bańczej Gruzji a Gruzją współczesną, Gruzją socjalistycznych kolchozów. Prolog mówi, że stara mądrość brzmi: „wszystko co tylko jest na tej ziemi, winno należeć do ludzi mających serce po temu”. Historia Gruszy wyraża tę prawdę w sposób ogromnie przekonujący. Grusza naraża swoje życie, swoje szczęście osobiste żeby ratować obce dziecko, ponosi ogromne ofiary, aby je utrzymać przy życiu i wychować. Nasze poczucie moralne bez wahania przyznaje jej prawo do tego dziecka; nie uznajemy prawa matki rodzonej, bo ta — ratując własne życie — o dziecko zapomniela i zaczęła go szukać wtedy dopiero, gdy bez niego nie mogła objąć majątków po zamordowanym mężu.

Prawda, której chce nas nauczyć Brecht, staje się nam bliska, żywa, przydatna w naszym współczesnym kształtowaniu świata. Natomiast nie bardzo daje się zastosować do konfliktu samego prologu. Sytuacja wygląda tak: Po winie wracają do rodzinnych stron dwa ewakuowane gruzińskie kolchozy. Powstaje między

chodzą. Reżyserka usiłowała podołać słaby prolog mocną obsadą aktorską, ale niepotrzebnie i nadaremnie próbowała nadrobić brak wewnętrznej dynamiki zewnętrzną dynamiką „działań fizycznych”. Nic nie pomogło. Co zrobić z prologiem — jest zagadnieniem bardzo dyskusyjnym.

Zagadnienie czasu: Brecht, z epiką swobodą doprowadził w tej Gruzji do kulminacji wrota. Simon i pancerni zabierają Miszę na sąd, cofa się o dwa lata wstecz, aby nam pokazać dzieło sędziego, który będzie rozstrzygał sprawę dziecka. Wracamy do owej wielkonoce niedzieli rewolucji pałacowej, kiedy gubernator dał głowę. Widzimy jak wielki książę ucieka i kryje się u Azdaka i śledzimy dalsze losy Azdaka, aż do sądu nad sprawą dziecka, kiedy to dwa główne wątki dramatu: Gruszy i Azdaka, spotykają się. Niestety to za wikłanie czasowe nie zostało teatralnie wyjaśnione. Sam tekst Pieśniarza nie wystarczy, fakt cofnięcia akcji czasu nie dochodzi do świadomości widza, i przez to ucieczka księcia i intronizacja Azdaka na sędziego wydają się wydarzeniem znacznie późniejszym niż ścieśnienie gubernatora — ginie ścisły związek między tymi faktami i przez to polityczna intriga sztuki traci na jasności. Należałoby jakimś wyrazistym obrazem powiedzieć widzowi, że cofamy się do wielkonoce niedzieli, na przykład powtórzyć przemarsz pancernych z głową gubernatora na kopii. Wypełnimy luz nieporozumieniem jest wprowadzenie tych samych pancernych przy intronizacji Azdaka i w pogoni za Gruszą. Przecież to się dzieje dokładnie w tym samym czasie.

Inna wątpliwość. W czasie zamieszek w wielkonoce niedzieli żona Gubernatora zajęta sukniakami odciga się z ucieczką. Nagle widok porażu czy kiwawych rozruchów przeobraża ją gubernatorową mdlejącą i zostaje wniesiona przez Adianta. To błąd. Nawet najlepsza matka musiałaby zgubić dziecko, gdyby zemściła i została siłą uprowadzona. Żona Gubernatora powinna w panice, ale nie tracąc przytomności, uciec i poprostu zapomnieć o dziecku. Zemdleńie usprawiedliwia ją częściowo, a właśnie nie nie powinno jej w oczach widza usprawiedliwiać. Tego chciała właśnie autor.

Szkoda mi też tekstu Azdaka, który nazywa starszuskę oskarżoną o kradzież — matką Gruszy. Że to zwykła oszustka? Że skąd nagle ten honor, by ją uczynić symbolem ojczyzny? — Ten wątek nie trafia do przekonania.

Oto skrócony tekst Azdaka: „Chciałbym do ciebie, matulu, mówić — o matko Gruszol Bolesna, obrabowana. Twój synowie na wojnie. Objana pieszczotami, a jednak pełna nadziei. Która się łzami zalewała, gdy podarować ci krowę. A jesteście bardzo zadowolone, że nikt nie chce za to nie bić. O, zechciej nas, potopionych, łaskawie sądzić, matczko”.

Staruska jest w oczach bogaczy oszustką, to prawda, ale jest z ich winy nędzarką umęczoną przez życie, matką synów, którzy poszli na wojnę. Azdak zobaczył w niej nagle uosobioną nędzę ludu i — mimo tej nędzy, mimo upodlenia, mimo wad — ogromną siłę życia, która musi wreszcie zwyciężyć. Oto jeszcze jeden moral wyniesiony z teatru Brechta.

Krystyna Berwińska

Trzęsł tego mego trzeciego listu literackiego miała być analiza ostatnich utworów Faulknera i Steinbecka oraz charakterystyczny szacunku jakim obydwoj — zupełnie tak samo jak Hemingway — cieszą się w naszych kołach literackich. Chciałbym jednak tę analizę odłożyć na później, gdyż dwa ważne wydarzenia w życiu literackim Ameryki składają mnie do kontynuowania moich wywodów na temat sytuacji ogólnej.

Wymienione przeze mnie zdarzenia dołączają do literackich dwóch wysoko cenionych czasopism, „The Times” w Anglii i „The Nation” w Ameryce. Londyński „Times” ogłosił cały magazyn poświęcony wyłącznie amerykańskiej literaturze oraz „jej siłę i niezależność” (cytuje wedle „Timesa”). „The Nation”, jedyne odpowiedzialne czasopismo liberalne jakie jeszcze w Stanach Zjednoczonych istnieje, przyniosło jesienią, jak co roku, szereg wydań książkowych i przedstawiło swoim czytelnikom młodego krytyka Johna W. Aldricha, który na tym polu cieszy się pewną sławą i którego nie należy utożsamiać z pisarzem austrijskim o podobnie brzmiącym nazwisku.

Obie te publikacje są oczywiście bardzo od siebie odległe nie tylko geograficznie lecz również pod względem koncepcji politycznej. „The Times” — to czasopismo konserwatywne i bardzo dalekie od „widowni”. „The Nation” jest zdecydowanie liberalne i bardzo bliskie „widowni”. Mimo to można stwierdzić charakterystyczne zbliżenie obu tych czasopism jeżeli chodzi o zagadnienia literackie. Oba wymijają gorliwie prawdę, że główną chorobą, na którą cierpi literatura amerykańska, tak samo jak wiele innych dziedzin amerykańskiego życia, jest tyrania. Oba czasopisma powołują się na to, co uprasie nazywają „niezwykłym okresem pojednania” panującego w Ameryce, ale w żadnym wypadku nie mają ochoty piętnować właśnie tego faktu jako specyficznego zła literatury amerykańskiej.

Studiuję sumiennie nieskończoną na pozór ilość stron publikacji „Timesa” i podczas gdy tuż tuż nawisł amerykańskich autorów tańczą przed moimi oczyma — nawisł, o których nigdy przed tym nie słyszałem — nie znajduję wzmianki o jednym choćby pisarzu postępowym czy lewicowym. Musielibyśmy więc mieć do czynienia albo z niewiarygodną nieznajomością przeszłości setki utalentowanych i odważnych pisarzy dzisiejszej Ameryki, albo z równie niewiarygodną instrukcją naszego Departamentu Stanu. Jeżeli się nie mylę, brak nawet takich nazwisk, jak Dorothy Parker, Lillian Hellman i Dashiell Hammett, nazwisk poważnych, które kiedyś cieszyły się nawet rozgłosem światowym.

Natomiast w liberalnej „The Nation” John Aldrich kontynuuje ową kampanię, którą rozpoczął przed kilku laty Robert Hillier, wymierzona przeciw tak zwanej „Nowej Szkole” pisarzy i krytyków Ideologiczne początki „Nowej Szkoły”, która grupowała się swego czasu dookoła trockistowskiego pisma „The Partisan Review”, sięgają lat około piętnastu wstecz. Z biegiem czasu udało się reprezentantom „Nowej Szkoły” uzyskać kontrolę nad licznymi wybitnymi kwartalnikami wydawanymi przez wyższe uczelnie oraz nad dodatkami literackimi niektórych wpływowych gazet gospodarczych. Propagowali oni Kafkę i Eze Pound, robili z neurozy siłę porażającą cały świat, ze słów fetysze i zdobywali w literaturze amerykańskiej coraz większe wpływy. Zwolennicy tego ruchu pracują w licznych wydawnictwach i bibliotekach, wydają literaturę na wielu uniwersytetach. Poprzez literaturę, która weszła na drogę poniżenia i bestialstwa, sterują ku batalistycznym, mistycznym freudowskim i zdecydowanie beznacelnym celom.

Równie mądry jak gwałtowny atak Johna Aldrich skierowany jest przeciw temu ruchowi, który zdobył sobie przodujące miejsce w duchowym upadku kultury amerykańskiej. Aldrich piętnuje ucieczkę tego ruchu od życia, jego snobizm, jego zajmowanie się tylko sobą, jego pasywną zależność od Joyce’a i Prousta, bierze mu bardzo za złe, że zdobył sobie w świecie literackim tak mocną pozycję. Wylicza najwybitniejszych pisarzy i wymienia przy tym nazwiska, których zapewne nigdy nie słyszcisz: Randall Jarrell, Mary Mc Carthy, Walter van Tilberg, Clark, Eudora Welty, Saul Bellow, Elizabeth Hardwick. Trzeba jeszcze dodać, że nazwiska te są nieznane nie tylko nam, ale chyba nikomu niemal z Amerykanów, chodzi bowiem o ludzi, których wpływ oparł niemal wyłącznie koła literackie i nie dociera do mas.

Z kolei Mr. Aldrich dochodzi do sedna sprawy. Alarmuje, że w licznych wydawnictwach kontrolowanych przez „Nowych Krytyków” umieszczono na czarnej liście takich pisarzy jak Norman Mailer, Calder

Willing Ham, John Horne Burs, Ira win Shaw, Alfred Hayes, Gore Vidal, Chandler Brossard i inni. Nie uważa uprawdźnie, że chodzi tu o autorów wybitnych, ale widzi w nich młodych pisarzy, którzy piszą mocno i dobrze i nie powinni być ignorowani.

Nie mogę się z nim zgodzić, ponieważ w moich oczach grupa ta, do której należy kilku odszczepieńców komunistycznych, czołowy podlegacz przeciw „czerwonym” oraz notoryczny rzecznik brutalności w literaturze, grupa do której nie należy ani jeden realista w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa, jest jak najbardziej odległa od prawdy o dzisiejszej Ameryce. Rzecz w tym że tak samo jak „Nowi Krytycy” wyrzucają za burtę tych, których tak podziwiał Mr. Aldrich, Mr. Aldrich i „The Nation” wykluczają zdecydowanie każdego lewicowego i postępowego pisarza. Jeżeli to stwierdzam, nie jest to skarga rozzaczarowanego, zgorzkniałego pisarza lewicowego — chcę tylko pokazać gdzie leżą przyczyny zła w naszej literaturze.

U źródła tego wszystkiego leży strach, który tłumaczy również postawę krytyka Mr. Aldricha. Tu, na odcinku literatury, dochodzi jeszcze dalszy moment: Mr. Aldrich nie tylko boi się terrorku „komunistycznego”, lecz jest również ofiarą ruchu antyrealistycznego, który w ostatnich dziesięciu latach zdobył dominującą stanowisko w literaturze amerykańskiej. W obec chwili można by nazwać Mr. Aldricha najliberalniejszym krytykiem w Ameryce. Jest młody, rozsądny, cęhuje go pewna doza skupienia — a mimo to każda jego krytyka świadczy o zamięciu. I tak np. w tym samym artykule, o którym mówiłem przed chwilą, wskazuje on na „tendencję szkoły proletariackiej do powtarzania się w nieskończoność w powieściach zajmujących się od dawna przeszarżowaną ekonomią Marksa i Engelsa”.

No cóż, gdyby ekonomia Marksa i Engelsa miała być naprawdę przeszarżowana, byłoby bardzo trudno znaleźć wytlumaczenie dla tego co się dzieje dzieje w Ameryce, dla obrzydliwej tragedii rosnącego bezrobocia, dla czającego się kryzysu, który wskrzesił widmo potwornej wojny i popycha świat w otchłań nowej katastrofy wojennej. Tragiczna niewiedza Mr. Aldricha nie ogranicza się tylko do ekonomii, lecz rozciąga się na całe życie amerykańskie, co oczywiście ma głęboki wpływ na jego rozumienie zjawisk literackich. Skarzy się na brud, kiczowatość, brutalność i pornografię, która jako skutek powodzi tanich książek po 25 centów, będących do nabycia w każdej drogerii i w każdym sklepie z papierem, zalała całą Amerykę. Ale protestuje tylko przeciw upadkowi kryteriów literackich i w związku z tym ma odwagę przerzucić winę za ten stan rzeczy na szerokie koła czytelników, którym rzekomo brakuje rozsądku. Tymczasem winą nie leży po stronie mas, lecz po stronie polityki zagranicznej i wewnętrznej, która im zarbuje te książki jak i innego rodzaju pokarm ideologiczny narzuca.

Więcej część tej winy musimy niestety przypisać sobie samym, lewicowcom. Wprawdzie izolacja nasza zostła nam narzucona, ale przyjęliśmy ją niemal bez walki. Na nieszczęście w walce naszej o realizm staliśmy sami i nie potrafiliśmy zdobyć wystarczającej ilości sprzymierzeńców. Wielcy realisci demokratycznie pierwszego połowy naszego stulecia, Dreiser i Sinclair Lewis, niestety nie żyją, a nie byliśmy zdolni dać młodym pisarzom i krytykom tyle zrozumienia wiary i siły, by mogli popychać naprzód sprawę realizmu i chcieli płacić za to popychanie odpowiednią cenę.

Mówiłem o londyńskim „Times” i o jego dodatku poświęconym literaturze amerykańskiej. No cóż, jeżeli nawet amerykańska „Saturday Review of Literature” wskazała, że liczne artykuły tego angielskiego dodatku pisane były przez Amerykanów — możemy być pewni, że byli oni mili Departamentowi Stanu. Ale nie tłumaczy to, dlaczego zupełnie pominięto autorów postępowych. Fakt ten może być również wytłumaczony tym, że ramie American Information Service sięga bardzo daleko.

Jesteśmy świadkami nowego, niezwykle interesującego zjawiska: w kraju, którego ideologia narodowa oparta jest na opozycji wobec socjalizmu, sztuka nie może się rozwinąć. Nie odnosi się to tylko do teraźniejszości. Poprzednia generacja mogła się przekonać, że naród, który się oddał w ręce faszyzmu, nie potrafi produkować dzieł sztuki.

W przeszłości istniała na lewicy tendencja do upraszczania problemów pisarskich, dziś kiedy coraz bardziej wciągani jesteśmy w gwałtowny, niezwykle skomplikowany proces przemiany wartości rozgrywający się na całym świecie, trzeba stwierdzić, że problemem tych nie można upraszczać. Są bardzo głębokie i nawet zwykłe sprawy — literackie — muszą być uwzględniane i starać się w jakiś sposób wytłumaczyć.

Howard Fast
Przetłumaczył Jacek Frühling

